Dziś w numerze: ● Reportaż z Sycylii ● T. WOJCIECHOWSKA W czym się bawić? ● Sylwia ● J. WILMAŃSKI Polski Roosevelt ● Wiersze młodych ● Felietony ● Recenzje

odgłosu

WOJEWÓDZKA ODZNAKA MŁODZI

4-3 (585)
26 I. 1969 r.
12 stron
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Prognoza dla pół miliona

MODERNIZACJA — inaczej unowocześnienie. REKONSTRUKCJA — odtworzenie albo odbudowa. Oba terminy oznaczają ogromną pracę niezbędną dla zmiany struktury krajowej gospodarki. Dla Łodzi oznaczają one nowoczesność w dominującym tu włókiennictwie i intensywny rozwój innych dziedzin przemysłu, a przede wszystkim elektrotechnicznego, maszynowego i metalowego.

Czas trwania modernizacji i rekonstrukcji: lata 1971—1975. Ostatnie dwa lata bieżącej pięciolatki — to okres przygotowawczy. Jednocześnie w wielu zakładach rozpoczęto już proces wymiany parku maszynowego, niektóre fabryki odtwarza się w nowych warunkach. Dzięki tym pracom np. przemysł dziewiarski w 1975 roku będzie mógł zwiększyć swoją produkcję aż o 225 proc.

Polskie włókiennictwo nie należy do najnowocześniejszych. Kształtowało się w warunkach, kiedy najważniejszy był zysk. Po wojnie odbudowywało się, kiedy potrzeba było jak najwięcej tkanin, kiedy interes gospodarki wymagał skierowania środków finansowych na rozwój innych gałęzi gospodarki. Dlatego też, jeżeli w krajowym przemyśle zużycie maszyn i urządzeń wynosi 51,4 proc., to w przemyśle włókienniczym — 62,8 proc., a zużycie budynków w kraju stanowi 33,1 proc., natomiast we włókiennictwie — 46,9 proc. Nic więc dziwnego, że dla przeszło pół miliona pracujących w przemyśle lekkim słowa **modernizacja i rekonstrukcja** oznaczają nie tylko nowoczesność sposobów wytwarzania, ale również nowoczesność **warunków pracy.**

Inspektorzy przychodzą i... odchodzą

W 1967 roku w przemyśle lekkim zdarzyło się 10.527 wypadków, co stanowi w porównaniu z rokiem 1964 wzrost ilości wypadków o 29 proc. W ubiegłym roku 4.695 członków związków zawodowych, pracujących w 380 komisjach zakładowych i 360 komisjach oddziałowych wykryło 12,5 tys. zagrożeń, które mogą spowodować wypadek. Zebrany materiał

Dalszy ciąg na str. 4

JERZY URBANKIEWICZ

Legenda OŚWIĘCIMÓW

Dożyliśmy czasów, kiedy w tramwaju można usłyszeć dyskusję na temat wyższości Dubrownika nad Splitem, plaż czarnomorskich nad adriatyckimi, nie mówiąc już o tym, że Balaton tak spowszedniał jak stawy Jana, a o Budziszynie mówi się z taką samą poufałością jak o Zgierzu. Jednocześnie przecież wydano w tym kraju przewodnik turystyczny, ułożony według tras samochodowych, a wymieniono w nim 5 tysięcy miejscowości, z których przeciętny Polak zna małą tylko część, przeważnie — miejsce własnego stałego zameldowania, a i to niezbyt dokładnie, oraz niektóre fragmenty utartych szlaków turystycznych.

Przypadek zawiódł mnie w dolinę Wisłoka, a kiedy jesienne słońce wyjrzało zza mgły i ozłociło ją, wraz z uczuciem zachwytu zrodziło się pytanie, dlaczego tak mało znamy rodzinny kraj. Doliną tą dojechałem do miasta, o którego istnieniu ma się niejasne zaledwie pojęcie, choć jego historia jest pełna uroczych legend, a współczesność pełna zabytków historii i bardzo ciekawych problemów dnia dzisiejszego.

Kwadratowy rynek Krosna przetrwał stulecia i dziś młodzież rozrabia pod tymi samymi podcieniami, pod którymi brać szlachecka czyniła burdy czasu sejmików. Te podcienia ciągną się po dwóch stronach rynku, są tak przestronne, że być może przed dwoma czy trzema wiekami pachołkowie ostrzegali przyjezdnych, by nie przywiązywali koni pod ich osłoną, obecnie zaś Rada Narodowa zabrania par-

Dalszy ciąg na str. 3

ŚWIATA

Nie odnotowujemy na tym miejscu lotów kosmicznych. Zainteresowanie nimi sprawia, że komunikaty prasowe i radiowe czytane i wysłuchiwane są z najwyższą uwagą i komentator musiałby siłą rzeczy powtarzać znane już czytelnikom fakty. Jeśli od tej zasady chcemy dziś zrobić wyjątek — to tylko dlatego, że rok 1969 rozpoczął się pod znakiem bardzo intensywnych — i uwieńczonych sukcesami — prób wydarcia kosmosowi dalszych tajemnic. Mam tu oczywiście na myśli zarówno udany lot w najbliższe okolice Księżyca kosmonautów amerykańskich, jak i zbiorową wyprawę kosmonautów radzieckich — z wszystkimi jej sensacjami naukowo-technicznymi, a więc utworzeniem czegoś w rodzaju „kosmomotelu" i przesiadką pasażerów z jednego pojazdu do drugiego.

Fakty te liczą się nie tylko jako szczytowe osiągnięcia nauki ale mają także swój aspekt polityczny. Jeśli bowiem wielkie mocarstwa potrafią, już z tak ogromną precyzją kierować pojazdami w kosmosie — cóż to więc za trudność dokładnie sterować głowicami nuklearnymi na ziemi?

Inaczej mówiąc — loty te skłaniają do zasadniczej refleksji również nad ziemskimi sprawami, a szczególnie trwającym nadal wyścigiem zbrojeń oraz istniejącymi sytuacjami konfliktowymi.

W ub. tygodniu przed jednym z ziemskich konfliktów lekko zarysowała się pewna perspektywa. Z 75-dniową zwłoką — 18 stycznia, zamiast 6 listopada — rozpoczęła się właśnie w Paryżu konferencja zainteresowanych stron w sprawie Wietnamu. Proceduralne trudności przełamano w ten sposób, że stół będzie wprawdzie okrągły, ale z prostokątnymi przybudówkami. Istotne jest jednak to, że sceneria negocjacji nie będzie podkreślała dwustronnego charakteru konferencji, do czego uparcie dążył Sajgon, odmawiając tym samym równoprawnego statusu Frontowi Wyzwolenia Narodowego.

Pierwsze trudności przezwyciężono, ale do rozwiązania konfliktu wietnamskiego z pewnością jeszcze daleko. Czas trwania uzgodnień proceduralnych daje bowiem, jak już kiedyś zauważyliśmy, skalę trudności rozmów.

Nie można oczywiście nie zauważyć, że rokowania paryskie z udziałem czterech delegacji rozpoczęły się na dwa dni przed odejściem Johnsona z Białego Domu. Chciał on za wszelką cenę przypisać sobie zasługę doprowadzenia do rozmów. Zapis w historii będzie jednak inny: to właśnie Johnson utrudniał podjęcie negocjacji, a więc i rozwiązanie konfliktu. Czy nowy prezydent pójdzie w jego ślady?

Wydawać by się mogło, że Nixon powinien być zainteresowany szybkim wyciszeniem konfliktu. Zdumiewa więc fakt, że na głównego negocjatora w Paryżu mianował on Cabota Lodge'a — człowieka zarejestrowanego na kartach dyplomacji jako polityka zimnowojennego. Kiedy przed trzema laty Johnson skierował go do Sajgonu na ambasadora, był to dla komentatorów jednoznaczny prognostyk — Stany Zjednoczone wzmagać będą agresję. Tak też się stało. I odwrotnie: kiedy w kwietniu 1967 roku Lodge został odwołany z Wietnamu — ożywiły się nadzieje na pokojowe uregulowanie problemu. Znana jest bowiem jego wypowiedź z okresu ambasadorowania w Sajgonie, iż „tej wojny nie da się skończyć w drodze rokowań".

Dziś ten człowiek przewodniczyć ma amerykańskiej ekipie w Paryżu. Podobno dlatego — by zacytować słowa rzecznika Nixona — że jest „najlepiej poinformowany i ma największe kwalifikacje do reprezentowania Stanów Zjednoczonych". Czy jednak nie dlatego, aby blokować możliwość porozumienia? Nad tym pytaniem zastanawia się większość komentatorów w dniu, kiedy Richard Nixon przejął prezydencką władzę.

Z tematyki wietnamskiej zwróćmy uwagę na jeszcze jeden ważny fakt. Oto Szwecja, jako pierwszy kraj europejski spoza wspólnoty socjalistycznej uznała rząd Demokratycznej Republiki Wietnamu. Wydarzenie to, które stało się prawdziwą sensacją w świecie zachodnim, trzeba uznać za przejaw dążności do uznania realiów wietnamskich. Z pewnością nie jest dziełem przypadku, że ten dyplomatyczny akt podjęto w chwili, kiedy rozpoczynają się paryskie rozmowy.

A teraz w kilku zdaniach o londyńskiej konferencji krajów Commonwealthu.

Konferencje Brytyjskiej Wspólnoty Narodów odbywają się zazwyczaj co 2—3 lata. Tym razem w obradach uczestniczyli przedstawiciele 28 krajów. Liczba ta nie powinna jednak mylić, a już w żadnym wypadku świadczyć, o sile Wspólnoty, bowiem jest ona bardzo formalna.

Po 8-dniowych obradach konferencja londyńska zakończyła się 26-stronicowym komunikatem, który w pełni potwierdza istniejące w ramach Wspólnoty rozbieżności — i na temat Rodezji, i stosunków rasowych, i gospodarki światowej, i sytuacji międzynarodowej... Na konferencji doszło do ostrych kontrowersji w sprawie przyszłości Wietnamu i priorytetów rozbrojeniowych. Jednomyślnie natomiast wyrażono poparcie dla pokojowej misji amb. Jarringa na Bliskim Wschodzie.

Londyńska konferencja potwierdziła nadchodzący zmierzch Commonwealthu.

W. SŁAWSKI

Nagrody miasta Łodzi w roku 1969

Znamy więc już nazwiska laureatów nagród m. Łodzi w roku 1969. Piękna tradycja przyznawania wyróżnień ludziom nauki i kultury, którzy rozsławiają imię miasta daleko poza jego granicami, rozwija się niezakłócenie z każdym rokiem dopisując nieustannie nowe nazwiska na listę dokonań stanowiących trwały dorobek artystyczny i naukowy naszego kraju.

Tegoroczni laureaci reprezentują różne dziedziny wiedzy i różne dyscypliny sztuki, wspólne jednak są ich związki z Łodzią, z miastem pracy i nauki, dla którego tak wydatnie się zasłużyli. Gratulując więc wszystkim laureatom zaszczytnego wyróżnienia chcemy im jednocześnie życzyć dalszych sukcesów zawodowych i oczywiście wszelkiej osobistej pomyślności.

K.F.

DR WITOLD JANOWSKI

Profesor
Uniwersytetu Łódzkiego

Nieprzypadkowo tegoroczna nagroda m. Łodzi w dziedzinie nauk matematycznych przyznana została człowieko

wi, którego działalność przyczyniła się w poważnym stopniu do przekształcenia miasta w prężny matematyczny ośrodek badawczy, ceniony w kraju i na świecie. Prof dr Janowski, który od roku 1945 związał się z Uniwersytetem Łódzkim, jest wybitnym specjalistą w dziedzinie funkcji analitycznych i wniósł wiele nowych elementów do geometrycznej teorii tych funkcji. Zasłynął zwłaszcza jako twórca własnych, uznanych metod w zakresie ekstremalnych problemów teorii funkcji, tj. związanych z maksimum lub minimum funkcji, co ma ogromne znaczenie praktyczne.

Jest także prof. dr Janowski wybitnym pedagogiem. Jego akademicki podręcznik „Matematyka" doczekał się wielu wydań, a kierowana przez niego katedra wydała wielu młodych adeptów nauki. Warto wspomnieć, że pod czas wojny jako jeniec niemieckiego obozu w Wolden bergu, prowadził tam potajemne zajęcia z matematyki wyższej. Po wyzwoleniu pracując naukowo na Uniwersytecie Łódzkim związał się jednocześnie ze szkolnictwem średnim, gdzie działał jako nauczyciel a następnie wizytator.

Dla uzupełnienia sylwetki wybitnego matematyka dodajmy jeszcze, że od roku 1962 pracuje społecznie jako wiceprzewodniczący Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Afrykańskiej.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Literat

Laureat nagrody m. Łodzi w dziedzinie upowszechnienia kultury, znany jest doskonale czytelnikom „Odgłosów" jako autor wielu powieści i zbiorów reportaży, a także odważny publicysta, który niejeden raz wspierał nasz tygodnik swoim piórem. Nic też dziwnego, że umieściliśmy go na naszej liście kandydatów do tytułu „Łodzianin 1968" w rozpisanym przez nas plebiscycie.

Z Łodzią związał się od wyzwolenia. W okresie studiów był współpracownikiem „Wsi", następnie zasilał jako autor „Kronikę", wreszcie kierował „Odgłosami" w pierwszych latach ich istnienia. Rezultatem jego działalności publicystycznej były cenione książki reportaży („Nauczyciele ze wsi", „W Powiatowej Polsce") wśród których szczególne miejsce zajmuje „Reportaż z pustego pola", o założonym przez hitlerowców obozie dla dzieci w Łodzi. Równolegle rozwijał się jego talent beletrystyczny. Po debiucie powieściowym „Okolica starszego kolegi" wydał kolejne książki z których "Świętokrzyski Polonez" zyskał największy rozgłos i rozszedł się w masowych nakładach.

Trudno pominąć działalność społeczną Jażdżyńskiego; działalność, która stanowi naturalne uzupełnienie publicystycznej pasji tego autora. Przypomnijmy więc, że jest wiceprezesem oddziału Łódzkiego ZLP i sekretarzem organizacji partyjnej łódzkich pisarzy. Patronuje też owocnej działalności Wydaw

nictwa Łódzkiego jako dyrektor tej zasłużonej placówki.

WACŁAW KONDEK
Artysta plastyk

Kolejny laureat nagrody m. Łodzi w dziedzinie upowszechniania kultury również doskonale jest znany czytelnikom „Odgłosów". Od paru lat publikujemy dość regularnie rysunki, szkice graficzne a także felietony Wacława Kondka, gdyż popularny artysta z powodzeniem próbuje swoich sił w różnych dyscyplinach sztuki. Jest malarzem, rzeźbiarzem, grafikiem i scenografem, dał się poznać także jako realizator dwóch filmów lalkowych; jego film „Ondraszek" wyróżniono nawet na festiwalu w Oberhausen. W dziedzinie scenografii współpracował z filmem i teatrem odnosząc na tym polu wiele sukcesów.

W swoich poszukiwaniach twórczych wierny jest narodowej, polskiej tradycji, chętnie odwołuje się do tradycji ludowej, toteż wystawy

jego prac cieszą się zawsze powodzeniem. W Łodzi wystawiał wielokrotnie, prezentował też swoje prace publiczności niemieckiej w Berlinie i Lipsku.

Jako grafik często sięga Kondek po temat łódzki. Rezultatem jego zafascynowania miejskim kolorytem jest drukujący się właśnie album „Ulica Piotrkowska", trwała pamiątka czasów, w których żyjemy.

DR JAN MICHALSKI

Profesor
Politechniki Łódzkiej

Nagroda m. Łodzi w dziedzinie nauk chemicznych przyznana została badaczo-

wi, którego dorobek zyskał sobie od dawna powszechne uznanie w kraju. (Przypomnijmy, że prof. dr Jan Michalski jest laureatem nagrody państwowej). Jest to tym godniejsze podkreślenia, że tegoroczny laureat Łodzi przerwane wojną studia kontynuował na tajnych kompletach i dopiero po wyzwoleniu uzyskał pierwszy stopień naukowy. Doktorat zrobił w Cambridge w laboratorium prof. Lorda Todd'a.

Pracując na Wydziale Chemicznym Politechniki Łódzkiej wraz z grupą współpracowników uzyskał kilka nowych, dotąd nieznanych połączeń fosforoorganicznych, przebadał ich strukturę i właściwości. Rezultaty swoich badań zawarł w ponad stu opublikowanych pracach naukowych. Jest nie tylko członkiem — korespondentem PAN, ale także członkiem zagranicznych towarzystw naukowych, angielskich i amerykańskich. Kierując VI Instytutem Chemii Organicznej PAN nawiązał kontakty z licznymi placówkami naukowymi za granicą, w ZSRR, Wielkiej Brytanii a także NRF przyczyniając się do popularyzacji polskiej chemii w świecie.

DR WŁADYSŁAW PEŁCZEWSKI

Profesor
Politechniki Łódzkiej

Laureat nagrody m. Łodzi w dziedzinie nauk technicznych jest żywym symbolem awansu i rozwoju środowisk akademickich w robotniczym mieście. Tak się bowiem składa, że prof. dr Władysław Pełczewski, absolwent Wydziału Elektrycznego Politechniki Łódzkiej w murach macierzystej uczelni przeszedł wszystkie szczeble naukowej kariery, od studenckiego indeksu do profesora zwyczajnego a następnie członka-korespondenta PAN.

W swojej działalności naukowej interesował się zawsze problematyką maszyn elektrycznych rozszerzając następnie swoje dociekania badawcze na zagadnienia napędu elektrycznego. Ogłosił z tych dziedzin ogółem 32 prace naukowe, w tym 12 prac książkowych. Warto podkreślić, że stworzył od pod-

staw Katedrę Automatyki na Wydziale Elektrycznym Politechniki Łódzkiej. Katedrze tej jak i macierzystej uczelni pozostał wierny do dziś.

PŁK DR MED. JAN PRUSZYŃSKI

Profesor
Wojskowej Akademii Medycznej

Nagrodę m. Łodzi w dziedzinie nauk medycznych przyznano lekarzowi, który jako pierwszy w Polsce, jeszcze w roku 1963 wszył chorej z niedomykalnością zastawki dwudzielnej zastawkę sztuczną Starra-Edvardsa. Równolegle zespół chirurgów kierowany przez prof. dr Jana Pruszyńskiego przystąpił do wszywania protez u chorych z wadą zastawki aortalnej. Wreszcie ostatnio skoncentrował on swój wysiłek badawczy na problemie fizjopatologii nadciśnienia płucnego u chorych z wadami serca.

Warto przypomnieć także wojenną kartę życiorysu tego znakomitego chirurga. Brał

on bowiem udział w kampanii wrześniowej jako lekarz 19 pułku ułanów. Zaś w roku 1944, w szpitalu przy ulicy Chocimskiej 5 udzielał pomocy rannym w czasie Powstania Warszawskiego.

Z Łodzią związany jest od roku 1955.

Legenda OŚWIĘCIMÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

kowania motocykli. To niewielkie przecież miasteczko pełne jest wspomnień zakrzepłych w kamieniu, w kształcie i nazwie budynków, w nazwach ulic, które mało mają w sobie ze stereotypu właściwego nazwom w innych miastach. Nie opodal rynku spiżowy Łukasiewicz trzyma w ręku lampę, którą skonstruował i patrzy z cokołu na najmłodsze pokolenie jego następców, śpieszące co ranka do jedynego w Polsce Liceum Przemysłu Naftowego.

Stoję na rogu ulicy Porcjusza, wszystko dookoła jest uroczą starówką, nad której stromymi dachami ciemnieje dzwonnica franciszkańskiego kościoła. Chciałbym, by począł śpiewać dzwon Urban, który jest największym po Zygmuncie, ale milczy dlatego chyba, że dziś dzień powszedni, a może chce uszanować obrady kawek i wron zamieszkujących dzwonnicę. Dzwonnica stoi zupełnie oddzielnie. Obok niej kościół, którego jedna z kaplic wiąże się z legendą krośnieńską związaną z rodem Oświęcimów. W jej odtworzeniu pomógł mi pracownik tutejszego muzeum pan mgr Andrzej Kosiek. Jest on dla Krosna niewyczerpanym źródłem informacji o własnym mieście.

Żył więc w tych stronach Stanisław Oświęcim, potomek znacznego rodu i miłością kochanka zapłonął do własnej siostry, Anny. Dostępu do niej broniły mu prawa boskie i ludzkie. Więc postanowił, za zgodą przychylnej mu siostry — kochanki, uzyskać indult papieski, by w ten sposób wiecznym zbawieniem nie ryzykować, a ludziom — gęby zatkać. Pojechał do Rzymu, co w warunkach wieku XVII nie musiało trwać krótko, kiedy zaś do wytęsknionej Anny powrócił i obwieścił jej zgodę papieża, nie wytrzymała radości i umarła. O piękno dawnych czasów! Kto by dziś jechał na koniec świata, by usunąć przeszkodę w spełnieniu się miłości? A gdyby nawet — kto by umierał z radości, lub choćby użył takiego sformułowania?

Wyobrażam sobie, że gdyby wydarzenie związane z rodzeństwem Oświęcimów powtórzyło się dziś, w jego opis wtłoczono by całą ohydę naukowej analizy. Stanisław Oświęcim — powiedziano by — z braku technicznych środków łączności, sam wiózł Annie wiadomość, korzystając z rozstawnych koni. Kiedy się nagle pojawił we dworze, organizm zemocjonowanej Anny począł wytwarzać nadmierne ilości adrenaliny, co spowodowało zwężenie naczyń krwionośnych, niedotlenienie mięśnia sercowego a następnie — zatrzymanie akcji serca. Gdybyż tam był ktoś pod ręką ze stosownym zastrzykiem, być może przywróciłby równowagę w organizmie Oświęcimówny, ale wtedy — być może — Krosno nie miałoby ani legendy, ani pięknej, wczesnobarokowej kaplicy przy kościele franciszkańskim, Stanisław Bergman nie namalowałby wysoko ocenionego przez Matejkę obrazu — przedstawiającego Stanisława przy zwłokach Anny, Mieczysław Karłowicz nie skomponowałby poematu symfonicznego „Stanisław i Anna Oświęcimowie". Jak to jednak dobrze, że pomiędzy epokami nie kursuje wehikuł czasu.

Stanisław Oświęcim jest postacią historyczną. Urodził się około roku 1605 w Siedliskach w pow. pilzneńskim, pełnił urzędy na dworze królewskim i dworach arystokratów, podróżował, wojował, jeździł do Wiednia po Cecylię Renatę, żonę Władysława IV. Ślad opisanej tu legendy pojawił się w roku 1812, w „Gazecie Lwowskiej" a romantyzm sprzyjał jej rozprzestrzenieniu się. Fakty związane z postacią Stanisława Oświęcima próbował ustalić prof. W. Czermak w przedmowie do „Diariusza Stanisława Oświęcima". Owszem, udało się stwierdzić, że kochankowie byli rodzeństwem przyrodnim. Mieli jednego ojca — Floriana, ale różne matki. Stanisława urodziła Regina ze Śląskich, Annę — Barbara z Szamotów. Sprawa jednak tej niezwykłej miłości pozostanie chyba na zawsze w uroczej nieprawdzie legendy.

Stoi więc do dziś kaplica, którą historyczny Stanisław Oświęcim wzniósł dla swojej legendarnej narzeczonej. Cały zresztą kościół pełen jest nagrobków i epitafiów, z którymi kojarzą się sprawy doniosłe nie tylko dla Krosna, ale wplecione w historię Polski. Wymienię choćby te dwa: nagrobek siostrzenicy Jana Zamoyskiego, kanclerza i hetmana wielkiego koronnego — wyszedł on spod dłuta Vincenzo Petroni, tego samego, który rzeźbił pomniki dla Kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu; obok prezbiterium — kamienne wspomnienie o Barbarze Mniszech, babce Maryny, żony Samozwańca.

Ale oto dźwięk potężnego dzwonu wiedzie ku następnej legendzie.

W tych samych czasach, kiedy Ketling znalazł się w Polsce, trafił do naszego kraju inny Szkot, nazwiskiem Porcjusz. Ten, choć na co dzień nierycerskim zajął się rzemiosłem, kiedy przyszła potrzeba, wykazał się wiadomościami z dziedziny sztuki wojennej o tyle ugruntowanymi, że obronił Krosno przed Szwedami i wszedł na zawsze do historii miasta. Własnym sumptem zbudował 500 łokci muru obronnego i wróg miasta nie zajął. Handlował Porcjusz winem, a był nawet faktorem dwóch królów polskich, Władysława IV i Jana Kazimierza. Otóż sprowadził kiedyś przez przełęcz Dukielską transport tokaju z Węgier, ale w jednej z beczek znalazł złoto, którego nie zamawiał. Usiłował je zwrócić, ale węgierski dostawca kategorycznie twierdził, że wysyłał tylko wino, nie może więc przyjąć nie swojego złota. Oświadczenie to wszystkich przekonało, że wino cudownym sposobem zamieniło się w złoto. Więc je Porcjusz cudownym Mocom zwrócił, fundując trzy dzwony. Największy, ważący podobno 5 ton i będący drugim po Zygmuncie, dostał imię Urban, od imienia ówczesnego papieża, dwa inne nazwano — Marian i Jan. A legenda ta i inne legendy krośnieńskie snują się zaułkami, nazwami ulic, dźwiękiem tych dzwonów, pachną naftą i wdzierają się we współczesność terkotem krosien i brzękiem szkła. Więc chodzi się po miasteczku, a że małe a ulice kręte, co jakiś czas wychylają się zza narożników te same fragmenty i wdzięczą się do turysty, wystawiając na pokaz inne, jeszcze nieobejrzane boki.

Co więcej — wszystkie te po kilkakroć widziane zabytki raz jeszcze ukażą się, rozwieszone na ścianach pałacu biskupiego, mieszczącego dziś Muzeum Regionalne. W drugiej połowie ubiegłego stulecia mieszkał w Krośnie, kochał się w nim i w dziesiątkach fragmentów malował — Seweryn Bieszczad. Mówią tu o nim: Canaletto Krosna. Więc idąc po korytarzach i salach Muzeum raz jeszcze się mija już wcześniej obejrzane zakątki i dziś trwają obok siebie dwa Krosna — to kamienne, prawidłowe i to olejne, stworzone przez Bieszczada.

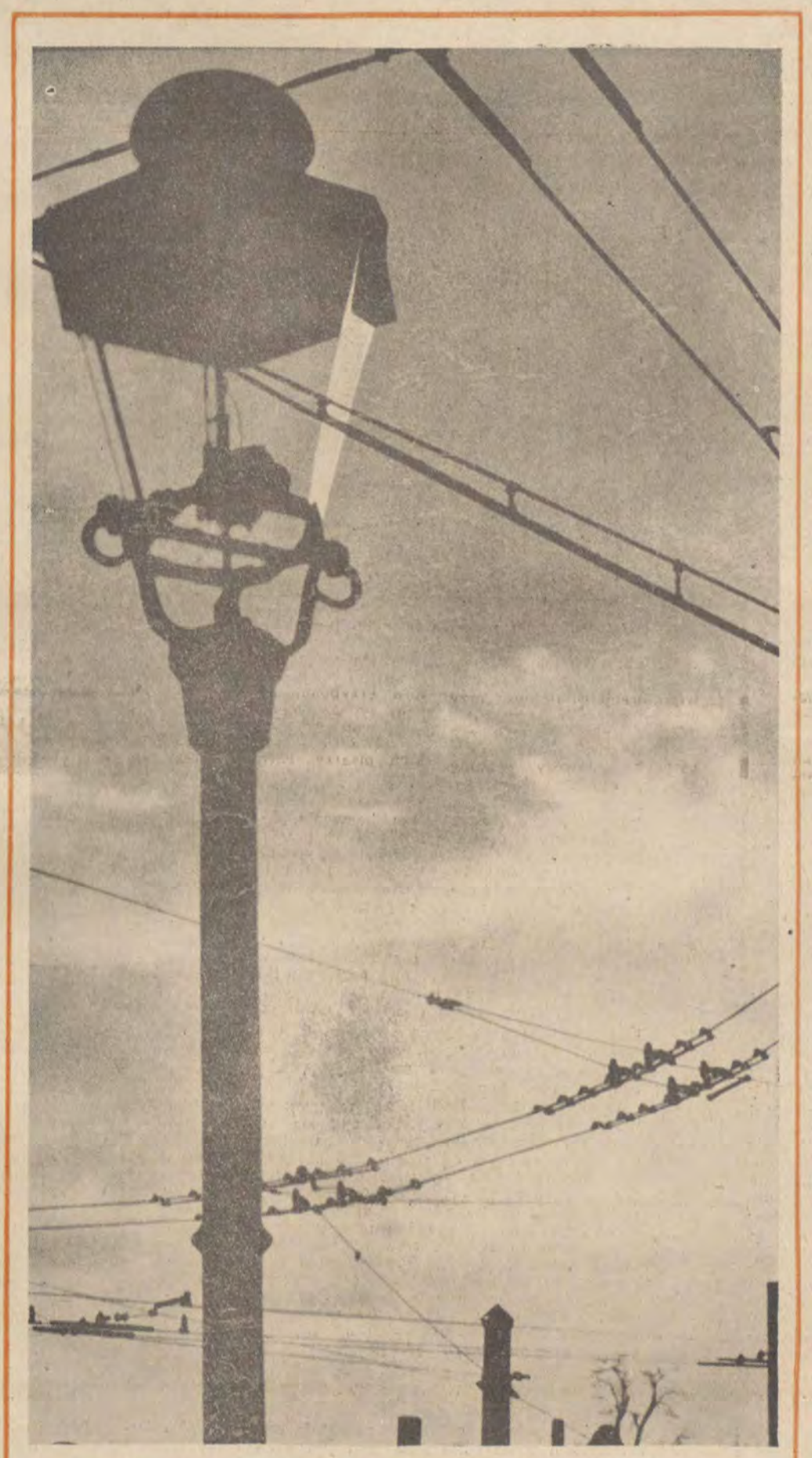

Malował zresztą nie tylko miasto, ale i ludzi je zamieszkujących, lub choćby odwiedzających. A w XIX wieku bywały tu wielkości nie byle jakie.

Po tych krętych, czasami stromo w dół biegnących uliczkach chodził Wincenty Pol, Seweryn Goszczyński i Aleksander Fredro. Wszyscy trzej tworzyli w pobliskim zamku odrzykońskim i zdaje się cegły owego muru granicznego wypalone zostały tu gdzieś, pomiędzy Krosnem a Odrzykoniem. Natomiast „Król zamczyska" Seweryna Goszczyńskiego na pewno powstał właśnie tu. Z innych wielkich Polaków — Jan Matejko bywał w tych stronach, czego ślady sam świadomie zostawił w swoim szkicowniku będącym do dziś ozdobą jego Domu w Krakowie. Inny podobny szkicownik należał do Józefa Mehofera i można w nim znaleźć wiele tych samych zakątków Krosna, które Bieszczad uwidocznił w swoich obrazach, a które do dziś zachwycają oko turysty.

Wspomniałem wyżej o wielkim płótnie Stanisława Bergmana „Stanisław Oświęcim przy zwłokach Anny". Bergman uczył się malarstwa u Matejki, podobno obraz ten malował pod jego okiem, chyba więc i podpis złożył na płótnie nie wcześniej, niż mistrz skinął głową z aprobatą. W roku 1888 obraz nagrodzono na wystawie krakowskiej, co stało się jeszcze jednym dowodem jego artystycznej wartości. Dziś zdobi Muzeum krośnieńskie a zarazem stanowi jeszcze jeden dowód, jak legenda Oświęcimów wrosła w to miasto, jak legendy trzymają się tych kamieni przed wiekami ułożonych w kształt budynków.

Nazwiskiem Bergmana bynajmniej nie wyczerpałem spisu wielkości związanych z tym miastem. Jeszcze by trzeba o Franciszku Daniszewskim, który na jednym z budynków zostawił obraz przedstawiający początki przemysłu naftowego pod Krosnem, a jego też dziełem jest polichromia w kościele farnym. Oprócz wspomnianego Vincenzo Petroni działali tu inni Włosi, że wymienię J. B. Falconiego, Reitina z Lugano, czy wreszcie J. M. Padovano. To po nich zostały rzeźby, stiuki, polichromie, to wszystko, co z małego Krosna czyni swoiste muzeum. A przecież zaledwie mimochodem wspomniałem nazwisko Łukasiewicza Mimochodem, gdyż prawo do dumy po wielkim tym twórcy przemysłu naftowego na świecie mają przede wszystkim niedalekie Gorlice, chlubiące się ową apteką, w której Łukasiewicz pracował i pierwszą destylarnią nafty. Jednakże kolebka światowego przemysłu naftowego znajduje się pod Krosnem, we wsi Bóbrka i stąd koneksje Łukasiewicza z tym miastem.

Nie opodal jego pomnika — uliczka nazwana imieniem Pawła z Krosna wywołuje wspomnienie z wieku XV i XVI, kiedy w Akademii Krakowskiej wykładał profesor takie noszący imię, jednocześnie poeta, nie najwyższych może lotów, ale też w jego czasach niewielu takich było, co w ogóle pisać i czytać umieli.

Gdyby się przenieść w bliższe nam lata — z Krosna pochodzi Władysław Gomułka.

Jest w Jugosławii miasto Zadar, w którym tu i ówdzie leżą wielkie marmurowe, martwe bloki ze śladami rzymskich napisów. W słońcu tegoż kraju bieleją ściany miasteczka Trogir — w jego wąziutkich zaułkach stoją tu i ówdzie budynki, których jedynymi mieszkańcami są jaszczurki, a jedyna refleksja na ich widok, że to wątłe pomniki przeszłości, które już nie zachwycą chciwego widoków turysty. Jest w Bułgarii miasteczko Neseber, w którym szczątki (nominalnie) czterdziestu cerkwi pomagają w sondażu lew z kieszeni turysty, ale są martwym świadectwem przeszłości. Przelałem na te szpalty zachwyt nad Krosnem, bo nie plenią się chwasty na jego murach, a w zasięgu śpiewu 5-tonowego Urbana kipi życie. Nazwałem to miasto „swoistym muzeum". Jakież tam muzeum! Trzynaście tysięcy ludzi dojeżdża codziennie do miasta, do pracy. Wszystkie zabytki coś znaczą w sprawach dnia dzisiejszego, tyle, że nie konie mogą zakłócić rytmiczność ruchu w mieście a motocykle, tyle że ze schodów rynkowych podcieni spadnie po pijanemu nie pod donicę strzyżony szlachciura, ale chłopak, co dostał pracę w „Lniance", przy nafcie, przy przetworach w „Halinie" albo w szkle. I oto powód, dla którego warto odwiedzić krośnieńskie Muzeum Regionalne: przecudne kształty w szkle, lichtarze o formach tak smukłych, że bałbyś się dotknąć ręką, wazony o kształtach tak nowoczesnych, że aż razi sąsiedztwo starych lamp naftowych. A w tych kształtach, światłach i dźwięku szkła rodzi się nowa legenda Krosna, bo tamte stare już się osłuchały.

JERZY URBANKIEWICZ

Prognoza dla pół MILIONA

Dalszy ciąg ze str. 1

przekazali oni specjalistom opracowującym programy modernizacyjne i rekonstrukcji. W sumie stwierdzono, że w najbliższym czasie potrzeba, ze względu na zagrożenie zdrowia i życia ludzi zlikwidować 283 oddziały produkcyjne.

Inspektorzy Pracy tylko w pierwszym półroczu 1968 roku wydali 2.657 nakazów, których celem było przeprowadzenie natychmiastowych prac usuwających zagrożenie. W większości były to sprawy drobne — powyrywane deski w podłodze, wadliwie zamykające się drzwi, niesprawna klimatyzacja czy instalacja elektryczna itp. W ciągu roku wykrywa się i usuwa około 10 tysięcy takich usterek.

Inspektorzy przychodzą, stwierdzają usterki, wydają zalecenie usunięcia ich i odchodzą. Znikają jedne usterki, a na ich miejsce pojawiają się inne. Szkoli się ludzi, uczy się ich prawidłowego działania, przypomina o niebezpieczeństwie, a mimo to wypadki zdarzają się nadal. Chodzi bowiem nie tylko o zmiany doraźne, ale przede wszystkim o radykalną zmianę warunków pracy. Taką zmianę niesie z sobą modernizacja i rekonstrukcja.

Paradoks nr 1 — forma i treść

Artykuł 1 ustawy o bezpieczeństwie i higienie pracy stwierdza:

„Zakład pracy obowiązany jest zapewnić pracownikom bezpieczne i higieniczne warunki pracy, wyłączające zagrożenie ich życia lub zdrowia".

W roku 1968 wybudowano w przemyśle lekkim kilka nowych fabryk. W Łodzi oddano do użytku **„Artech"**, w Gnieźnie — **Fabrykę Guzików „Lech"**, a w Głuszycach i Prudniku zmodernizowano zakłady przemysłu bawełnianego. Należałoby się spodziewać, że w zakładach tych w pełni zrealizowano zadania określone w artykule 1 ustawy o bhp. Tymczasem rzeczywistość nie napawa optymizmem.

W Fabryce Guzików „Lech" w Gnieźnie Biuro Dokumentacji Technicznej z Łodzi zapomniało zaprojektować... urządzenia odpylające. Co gorzej w czasie przejmowania fabryki nie zwrócono również uwagi na ten istotny dla warunków pracy mankament. Podobnie — aczkolwiek z innych przyczyn — nie nastąpiła spodziewana poprawa warunków pracy w łódzkim „Artechu".

Dla przemysłu pończoszniczego zaprojektowano nowoczesny zakład w Łowiczu — **„Syntex"**. Nie zapomniano tu o niczym. Jednocześnie z budową hal produkcyjnych zaczęto budować żłobek. Tylko, że już w trakcie przygotowań do montażu maszyn powstał pomysł zamiany wygodnych szatni, na mniej wygodne, ale za to pozwalające na wykorzystanie zwolnionej powierzchni pod... maszyny.

Okazuje się, że nie wystarczy zaprojektować i wybudować nowoczesny zakład produkcyjny, wyposażyć go w nowoczesne maszyny, trzeba jeszcze zmienić — u n o w o c z e ś n i ć — sposób myślenia. Trzeba przekonać, że wzrost produkcji, wzrost wydajności, to nie tylko skutek wymiany przestarzałego parku maszynowego, ale także — poprawy warunków pracy.

Zdarzają się bowiem i takie przypadki, że kupuje się nowoczesną maszynę i instaluje się ją w nieodpowiednim, ciasnym pomieszczeniu. W rezultacie nie wykorzystuje się pełnej mocy produkcyjnej maszyny i męczy się ludzi pracą w nieodpowiednich warunkach.

Poprawa warunków pracy — to właściwa organizacja, zatrudnianie odpowiednich ludzi na odpowiednich stanowiskach, zgodnie z ich psychicznymi i fizycznymi predyspozycjami, porządek w fabryce i zapewnienie możliwości właściwej regeneracji sił. **Kompleksowość stanowi podstawowy warunek nowoczesnego traktowania problemu.**

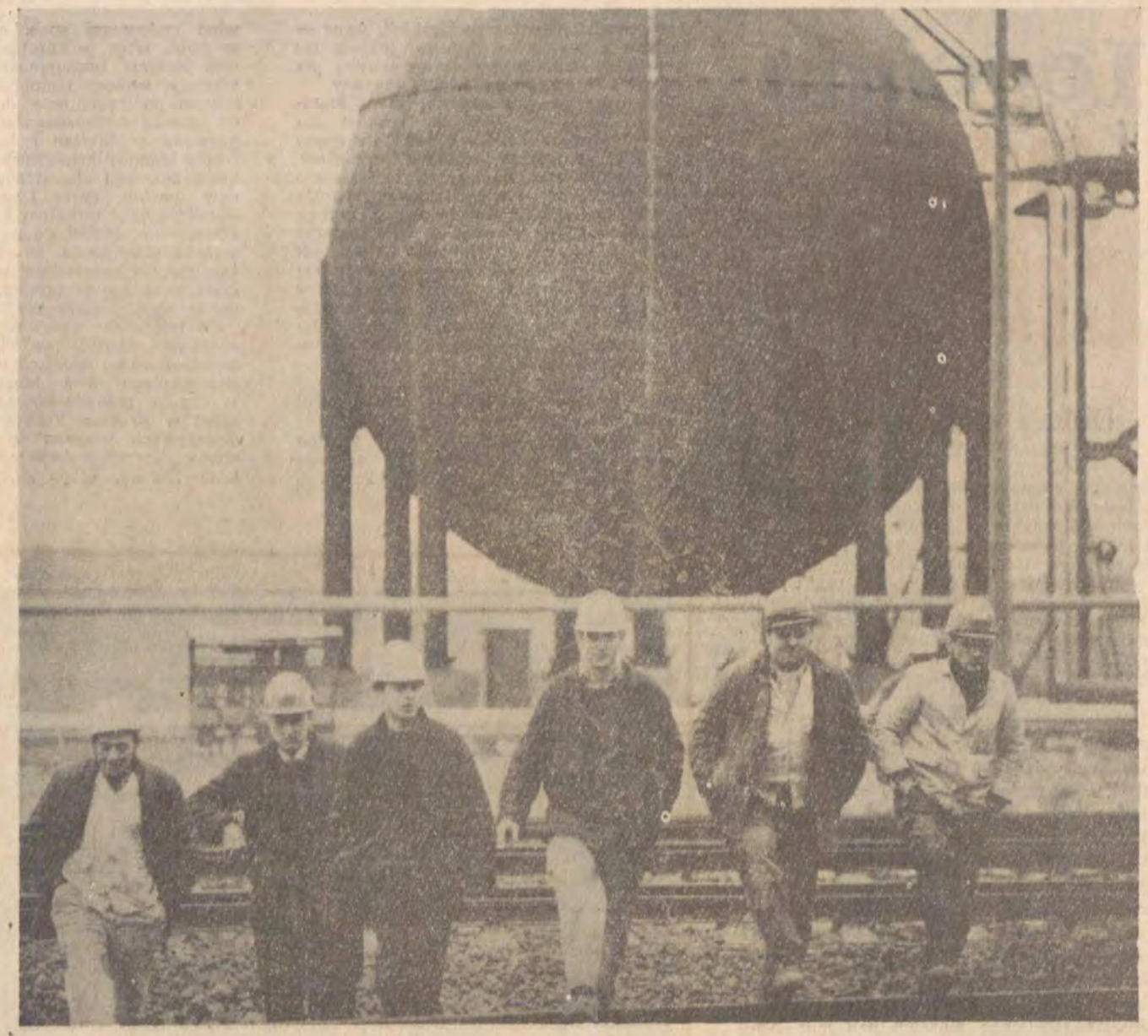

Paradoks nr 2 - potrzeby i możliwości

W 1967 roku program inwestycji w dziedzinie bezpieczeństwa i higieny pracy wykonano tylko w 94,7 proc. W pierwszym półroczu ubiegłego roku nakłady inwestycyjne na instalację urządzeń klimatycznych i wentylacji wykorzystano tylko w 39 proc. Przyczyną jest brak możliwości produkcyjnych występujący w przedsiębiorstwach budowlanych. Przyczyną jest też brak urządzeń klimatycznych i wentylacyjnych. Przedsiębiorstwo „Klimat" przechodzi reorganizację, ale to dopiero pierwszy krok do zaspokojenia ogromnych potrzeb gospodarki.

Dotychczasowa praktyka wskazywała, że projektanci nie zawsze zapominali o żłobku, przedszkolu, stołówce czy klubie. Nie zapominali o urządzeniach usuwających szkodliwe wyziewy, pył i kurz. Ginęło to wszystko na wyboistej drodze między projektem a realizacją. Inwestor postawiony wobec alternatywy: albo budować wszystko razem ale długo, albo zrezygnować z niektórych pozycji i szybko dać ludziom pracę, a krajowi produkcję — wybierał to drugie wyjście. Nie było ono najlepsze i nie zawsze gwarantowało szybką i tanią realizację projektu.

Program modernizacji i rekonstrukcji przemysłu lekkiego zakłada **jednoczesną poprawę warunków pracy.** Powstaje zatem pytanie: **czy budownictwo posiada wystarczający potencjał produkcyjny, aby program ten wykonać bez skreśleń?**

W latach 1966—1968 tylko w przemyśle lekkim nie wykorzystano blisko pół miliarda zł. W roku bieżącym plan inwestycyjny przemysłu lekkiego wyższy jest o 40 proc. od planu roku ubiegłego. W tym roku trzeba będzie wykonać prace budowlano-montażowe o 45 proc. wyższe niż w roku ubiegłym. Jeśli zatem budownictwo nie dysponowało możliwościami wykonania wszystkich zadań inwestycyjnych w roku poprzednim, to istnieje prawdopodobieństwo, że podobna trudność wystąpi również w tym roku zważywszy, że zadania te są znacznie wyższe.

Powstaje zatem następne pytanie: **czy w tej sytuacji „ofiarą" nie padnie znów to wszystko, co nie jest pozornie tak ważne, a co ma niebagatelne znaczenie dla warunków pracy?**

Związek Zawodowy Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego mówi: NIE! Jego przedstawiciele będą brali udział w posiedzeniach komisji oceny projektów inwestycyjnych. Przy czym ich sprzeciw będzie podlegał rozwadze dyrektorów zjednoczeń lub wiceministrów.

Jest jeszcze samorząd

Na straży właściwego realizowania programu modernizacji i rekonstrukcji stoi, a przynajmniej powinien stać, s a m o r z ą d r o b o t n i c z y.

„Samorząd robotniczy — stwierdza uchwała V Zjazdu PZPR — nie może ograniczać swych funkcji kontrolnych i nadzoru jedynie — jak to jeszcze dość często ma miejsce — do wysłuchiwania na sesjach KSR okresowych informacji i sprawozdań kierownictwa administracyjnego z działalności przedsiębiorstwa.

Kontrola społeczna powinna koncentrować się przede wszystkim na najważniejszych problemach decydujących o wynikach pracy przedsiębiorstwa.

Przedmiotem stałej troski samorządu robotniczego powinno być uzyskiwanie w zakładach pracy lepszych wyników w organizacji produkcji i pracy. Konferencje samorządu i rady robotnicze w oparciu o krytykę dotychczasowych zaniedbań w organizacji produkcji i w warunkach pracy, domagać się powinny od administracji konsekwentnego usuwania niedociągnięć i braków w tym zakresie.

Konsekwentna realizacja zadań postawionych przez V Zjazd PZPR przed samorządem robotniczym powinna przyczynić się do zmiany sposobu traktowania warunków pracy przez niektórych przedstawicieli administracji.

Powstały zatem warunki dla usunięcia wiekowych zaniedbań, stworzenia prawdziwie nowoczesnych, socjalistycznych zakładów pracy. Nie będzie to ani łatwe, ani proste. Wiele trudności trzeba będzie pokonać. Najważniejszą — przełamać zły, tradycyjny sposób myślenia. I od tego trzeba zacząć. Prognoza dla przeszło półmilionowej rzeszy pracowników przemysłu lekkiego jest pomyślna, ale czy się sprawdzi — **zależy to od nich samych.**

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

LISTY do REDAKCJI

Jeszcze o klubach

Z największym zainteresowaniem przeczytaliśmy artykuł ob. Mieczysławy Walczak pt. „W co się bawić w klubach studenckich" zamieszczony w nr 2 (584) „Odgłosów" z dnia 12.I.1969 r.

Pomijając całość artykułu (chodzi tu o tzw. oryginalność i dosadność opisania działalności kulturalnej ZSP na odcinku klubów studenckich właśnie przez przedstawiciela tego środowiska) pozwolimy sobie jedynie zatrzymać się na interesującej nas części, tj. na owych 30 linijkach tekstu dotyczących instytucji, którą mamy przyjemność reprezentować. Po prostu prosimy o przyjęcie do wiadomości kilku nieścisłości i błędów, które się zakradły do artykułu.

Prawdą jest, że dwa razy w tygodniu odbywają się u nas próby teatru „STUŁ", który musi przecież trenować, aby dawać premiery i spektakle swoich sztuk.

Nieprawdą jest, że „w dni pozostałe owa klubo-kawiarnia jest zazwyczaj zamknięta", ponieważ klub nasz otwarty jest codziennie od października do dnia dzisiejszego z wyjątkiem okresu od 24 grudnia 1968 r. do 5 stycznia 1969 r. (wiadomo: wakacje zimowe).

Prawdą jest, że w klubie urządzono kilka razy uroczystości typu imieniny i ślub (a nie jak napisano urodziny), ponieważ uznaliśmy to za słuszne i koleżeńskie. W jednym wypadku imieniny przewodniczącego Rady Uczelnianej a w trzech wypadkach śluby naszych działaczy — sprawa prosta: pobierali się a mieli tylko 200 złotych, więc po koleżeńsku zrobiliśmy im wesela. Jak ob. M. Walczak będzie wychodziła za mąż a będzie miała jedynie owe 200 złotych, wówczas w posagu zorganizujemy jej w klubie wesele.

Prawdą jest, że grupy studentów oglądają u nas telewizję (najczęściej Klossa), ale oglądają grupy małe, powiedzmy 50—100 osób. Więcej nie zmieści się w klubie przy najlepszych chęciach, chyba, że wynajmiemy łódzki Pałac Sportowy.

Prawdą jest, że ludzie spoza środowiska studenckiego są tu „raczej niechętnie widziani", jeśli nie mają legitymacji studenckiej czy karnetu klubowego.

Cieszymy się, że ob. M Walczak do ciekawszych imprez zaliczyła cykl „Ludzie i morze", ale nazywał się on „Polska na morzu" i miał charakter seminarium.

Nieprawdą jest, że ów cykl to jedyna działalność klubu w ciągu roku (odsyłamy ob. M. Walczak do prasy, telewizji, kroniki klubowej, kierownika klubu, władz uczelni i miasta, ZSP, studentów).

BOLESŁAW WOJTOWICZ
Kierownik Klubu
„KONTYNENTY" RU

NATALIA CANOVA

TAM gdzie SCYLLA i CHARYBDA

Pociąg sycylijski mknie szybko. Już świta. Podnoszę się i wyglądam przez okno. Jedziemy tuż nad brzegiem prawie nieruchomego błękitnego morza. Przysuwam się bliżej okna. Wśród ciemnej zieleni drzew złocą się cytryny — a może pomarańcze? Tu bliżej kaktusy, z liśćmi jak patelnie, o wielkich kolcach i żółtych kwiatach Teraz — jak na ekranie — przesuwa się czarnowłosa dziewczyna z koszem oliwek na głowie, obok niej osiołek.

Pociąg zatrzymuje się. Stacja Palmi. Wyciągam szybko mapę. Jestem w Kalabrii. A więc to tutaj — w małej nad morskiej miejscowości Gioiosa Ionica — matka znanego rzeźbiarza sycylijskiego — Salvatore Incorpora, z którym spotkam się w Catanii — modelowała w glinie figurki ludowe: dziewczęta z dzbankami na głowie, pasterzy z owcami, prządki przy pracy, orszak ślubny w tęczowych strojach, pannę młodą w sukni z lazurowego atłasu. Te figurki, przypominające dawne rzeźby greckie, ustawiała na oknie aby wyschły w ciągu nocy. Rano chłopcy biegli do kuchni podziwiać nowe „laleczki".

Pociąg rusza, zbliżamy się do Cieśniny Messyńskiej. Stacja Scilla to wspomnienie mitycznej Scylli. Cieśnina ma zaledwie 3 km szerokości i około 100 metrów głębokości. Już w starożytności mówiono o połączeniu Sycylii z półwyspem za pomocą mostu lub podwodnego tunelu. Nasz pociąg przewiezie do Messyny statek-ciągnik, na którym jest kilka torów. Statek nazywa się „Cariddi", czyli mówiąc po polsku: Charybda. Manipulacje z rozrywaniem pociągu trwają prawie pół godziny. Słychać szczęk żelaza, plusk wody, nawoływania: „Attenzione, attenzione!" Pociąg pustoszeje. Wszyscy wychodzą na górny pokład statku, skąd widać całą Messynę, i port z posągiem Madonny della Lettera, patronki miasta.

Lecz ja tkwię przy walizkach, bo moja włoska przyjaciółka ostrzegała mnie, iż na Południu grasują bandyci-rabusie. Zwłaszcza, że w korytarzu widzę kilku czarnych Sycylijczyków, którzy gestykulują i krzyczą zapamiętale. Może to są „maliosi"? I oni także zwracają uwagę na osobę — blondynki z niebieskimi oczami. Zarzucają mnie pytaniami o Polskę, pokazują album ze znaczkami, w którym są także polskie. Jadą do Niemiec na roboty. Jesteśmy już przyjaciółmi. W tym kraju szybko zawiera się przyjaźń, zwłaszcza z przedstawicielami popularnego tam narodu polskiego.

W Messynie na stacji czeka na mnie dr medycyny Filippo Di Bella z żoną Adrianą. On — rodowity Sycylijczyk i członek Włoskiej Partii Komunistycznej. Pani Adriana pochodzi z Turynu. Serdeczne powitania. Białym Fiatem jedziemy przez miasto. Messyna przestała już być starożytną. Po strasznym trzęsieniu ziemi w 1908 roku zabudowano ją nowymi, jasnymi domami, przeważnie parterowymi i jednopiętrowymi. Przejeżdżamy przez plac Katedralny. Kościół jest jednym z nielicznych reliktów z czasów normańskich. Koło katedry codziennie o godzinie 12 zbiera się gromada ludzi, aby zobaczyć średniowieczne misterium. Najpierw rozlega się przeraźliwy ryk. To na wieży złoty lew otwiera szeroko paszczę i unosi się rytmicznie na tylnych łapach. Następnie wyskakuje kogut i chrapliwie pieje na całą okolicę. Jest także anioł, który porusza skrzydłami, Madonna, która błogosławi, fruwający gołąb. Na zakończenie, jak groźne memento, pojawia się śmierć z kosą. Sycylijczycy patrzą na to widowisko zawsze jednakowo urzeczeni.

Dom państwa Di Bella przyjmuje mnie bardzo gościnnie. Zjawiają się goście, aby poznać Polkę. Jest druga połowa maja, okres wyborów w Italii. Wszyscy gorąco je przeżywają, zwłaszcza tu, na tej ziemi zaniedbanej przez władze centralne, opóźnionej w rozwoju. Pragną dowiedzieć się jak w Polsce realizuje się ustrój, z którego wiele chcieliby zaprowadzić u siebie Fascynuje ich każda wiadomość.

Następnego dnia, w niedzielę, pojechaliśmy do Linguaglossy, miejscowości położonej u stóp Etny. Zobaczyliśmy najpierw słynną Taorminę. Droga do Taorminy przecina wiele rzek i górskich potoków. Dno ich jest suche, lecz jesienią koryta wypełniają się groźną często wodą. Mijamy kolorowe wózki z owocami, ciągną je osioł ki. Wzdłuż szosy rosną kępy wysokich pelargonii, oleandry biało i różowo kwitnące, palmy, drzewa pomarańczowe. W miasteczkach, przez które przejeżdżamy, ulice są puste, okiennice wszędzie spuszczone. Domy przeważnie jasnokremowego koloru. Droga wije się serpentyną nad morzem koloru ultramaryny, czasem barwa wody zmienia się w seledyn.

Cóż mówić o Taorminie? Znamy ją z pięknych pocztówek, gdzie w kolorowym krajobrazie, pełnym greckich pamiątek, góruje Etna, pokryta zawsze śniegiem. Róże, geranie, nieznane kwiaty, cyprysy, palmy. Komfort, bogactwo i przepych dla turystów-milionerów.

Przyznam się, że bardziej mi przypadła do gustu Linguaglossa, położona o 12 km od Etny. Ciekawy jest krajobraz okolic wulkanicznych. Mury domów, ogrodzenia osiedli buduje się z lawy. Ziemia wokoło czarnobrunatna, na stokach wzgórz tarasowate półka, rośnie tam winorośl na niezwykle żyznej glebie, kasztany, jabłonie, grusze, orzechy, figi. Wszędzie żółto kwitnący żarnowiec Ziemia często drży, czasem słychać huk jakby piorunu. Nad okolicą unosi się wspaniała, majestatyczna Etna wśród sosnowych lasów, zwanych tu pinety. Z krateru unoszą się białe obłoczki dymu, wieczorem nad wulkanem goreją płomienie.

W Linguaglossa zatrzymaliśmy się w letniej willi rzeźbiarza i malarza sycylijskiego — Salvatore Incorpora. Profesor Incorpora jest typowym przedstawicielem Południa: średniego wzrostu, czarne włosy, żywe, roześmiane oczy. Na mój widok rozwiera ramiona i z okrzykiem radości rzuca się w moim kierunku, a za nim jego rodzina. Dom rozbrzmiewa wesołością, każdy o coś pyta. Polska nie jest dla nich obca. Salvatore Incorpora w czasie ostatniej wojny przebywał jako włoski jeniec w obozie koncentracyjnym w Zawierciu. Mieszkańcy tego miasta wspominają dziś jeszcze „pana artystę", który dla miejscowego kościoła wyrzeźbił na Boże Narodzenie żłobek ze wszystkimi akcesoriami. Żłobek powstawał za drutami obozu, towarzysze niewoli z narażeniem życia wymykali się poza miasto i znosili glinę, z której powstawały prawdziwe dzieła sztuki. Czego tam nie było! Pasterze z owieczkami i kozami, góral ne przygrywający na kobzach i piszczałkach, żołnierze, magowie z wielbłądami, kobiety przy studni Gotowe, prymitywnie wypalone figurki jeńcy włoscy przenosili ostrożnie po oblodzonych drogach do kościoła. W czasie świąt wdzięczni mieszkańcy przynosili do obozu chleb, ciasto i wino. Profesor Incorpora z wielkim wzruszeniem wspomina dobroć i serce Polaków.

Po obiedzie profesor Incorpora pokazuje mi swoje sycylijskie żłobki, które są czarującym widowiskiem, pełnym rodzajowych scenek z życia wyspy.

Zbliża się wieczór; państwo Incorpora muszą wracać do Catanii, gdzie stale mieszkają. Przyjmuję miłe zaproszenie i po kilku dniach jadę tam. To miasto pomarańczy zbudowane jest całe na lawie. Burzone kilkakrotnie, odnawiało się osiem razy w ciągu wieków dzięki uporowi mieszkańców. Wulkan kształtował krajobraz miasta, domy są ciemnego koloru. Z okien przydzielonego mi pokoju patrzę na potężną Etnę, w dzień białą w blasku słońca, w nocy urzekającą czerwonym ogniem.

Catania jest miastem rodzinnym słynnego kompozytora — Vincenzo Belliniego. Dom twórcy „Normy", zamieniony na muzeum, zwiedzają Włosi z równym wzruszeniem jak Polacy Żelazową Wolę. Notabene Chopin przyjaźnił się z Bellinim.

Mieszkanie państwa Incorpora pełne jest rzeźb i obrazów. Maluje także córka profesora — szesnastoletnia Concetta. Salvatore Incorpora uczestniczył w wystawach włoskich i międzynarodowych, otrzymał wiele medali i wyróżnień. Jego projektu popiersia sławnych ludzi zdobią place publiczne.

Profesor zaprosił mnie do swej pracowni przy ul. Crociferi. Jest to ulica artystów, podobnie jak via Margutta w Rzymie. Pracownia mieści wiele obrazów i rzeźb. Krajobrazy etnejskie z wulkanicznymi wysepkami, domki wbudowane w skały. Silne wrażenie wywiera na mnie obraz zatytułowany „Precz z barierami" Wspaniały kontrast barw, wśród tego pochylony człowieka ze szczególną mocą usiłuje podważyć kilofem ciężki mur. Miłość do człowieka ze szczególną mocą wyraża się w rzeźbach. Oto zamiatacz ulic ma zdeformowane stopy od ciągłego wysiłku. Matka Wietnamka z wychudłym dzieckiem w ramionach protestuje przeciw barbarzyńskiemu agresorowi. Wstrząsająca rozpacz na twarzach ludzi bezdomnych po trzęsieniu ziemi.

Wychodzę z pracowni z wspaniałym darem — olejnym obrazem. „No, alle bariere". W domu otrzymuję od Concetty barwny model sycylijskiego wózka, którego boki mają wymalowane sceny historyczne z królem Rogerem jako główną postacią.

Gdy wracam do Messyny — ostatnie moje spojrzenie posyłam płonącej ciągle Etnie.

MIECZYSŁAWA WALCZAK

„Gaudeamus igitur" w Teatrze Propozycji

Łódzki Teatr Propozycji zajmuje się dyskusyjno-analitycznymi pokazami polskich sztuk współczesnych. Inicjatywa ta pozwala na wyselekcjonowanie wielu ciekawych pozycji dramaturgicznych, na których brak ciągle jeszcze narzekamy. Do rzędu takich właśnie odkryć można śmiało zaliczyć zaprezentowaną przez ten teatr sztukę Ludwika Świeżawskiego pt. „Gaudeamus igitur".

Autor adresuje swój utwór przede wszystkim do młodzieży. Rzecz dzieje się w połowie XV w. w Dobrzyniu, a następnie w Krakowie. Na tym średniowiecznym tle kreśli historię młodej dziewczyny, która nadzwyczaj śmiało jak na owe czasy, występuje przeciwko utartym prawom i konwenansom epoki. Nawojka ucieka, w dzień swego ślubu, z rodzinnego Dobrzynia, jedzie do Krakowa i tam w przebraniu dostaje się na Uniwersytet Jagielloński. Po trzech latach trudów i niedostatków żakowskiego życia zdobywa chwalebny tytuł bakałarza. Gdy jednak wydaje się, że jest dziewczyną, sąd miejski skazuje ją na karę śmierci. Ale zjawia się dobry duszek — król Kazimierz we własnej osobie, uniewinnia rzekomą jawnogrzesznicę i oddaje ją pod opiekę kochanego i kochającego młodzieńca. W dodatku okazuje się, że przybrana córka dobrzyńskiego burmistrza jest szlacheckim dzieckiem poległego na polu walki rycerza Nawoja, a więc sądy miejskie swej mocy nad nią nie mają. Nic już nie stoi naszej bohaterce na drodze do szczęścia i wszystko kończy się jak najlepiej.

Ta pozornie naiwna bajeczka zawiera w sobie sporo cech autentyzmu. Nawojka jest bowiem postacią historyczną a przepisywany przez nią modlitewnik zaliczony został do zabytków staropolskiego piśmiennictwa. Nie brak tu także innych rzeczywistych person owej epoki, a więc: król Kazimierz, Oleśnicki, Ostroróg, Długosz.

W poetyckim, ujmującym tekście L. Świeżawski zawarł różnorodną problematykę. Jednakże o najcenniejszej warstwie utworu przesądza nie dydaktyzm oraz nieco moralizatorska pochwała nauki i ludzkiego rozumu, lecz tło historyczne potencjalnego widowiska, jego barwność, koloryt i wierność realiów obyczajowych epoki.

Także od strony formy można się tu dopatrzyć najprzeróżniejszych możliwości interpretacyjnych. „Gaudeamus igitur" pozwala przede wszystkim na nadzwyczaj ciekawe rozwiązania scenograficzne. Bo jakże różnorodny może być obraz małego, prowincjonalnego Dobrzynia i nader ważnego podówczas miasta Krakowa z jego domami, uliczkami, straganami, gospodą, rynkiem miejskim, wreszcie samym Wawelem.

Barwne niemal egzotyczne stroje epoki, w kolorystycznym zestawieniu z wystrojem widowiska, spotęgować mogą jeszcze wrażenie estetyczne i poznawcze młodocianej widowni.

Dzięki prostemu i interesującemu podaniu tekstu przez aktorów: Wandy Chwiałkowskiej, Ewy Mirowskiej, Elżbiety Starosteckiej, Barbary Wałkówny, Andrzeja Herdera, Stanisława Łapińskiego, Maćka Małka, Bogdana Mikucia i Józefa Zbiróga, słuchacze z pewnością dostrzegli możliwości indywidualizacji zróżnicowanych dramatycznie postaci. Wydaje się, że niewątpliwie stanowić by one mogły dla przyszłych wykonawców bogaty materiał interpretacyjny.

W pokazie Teatru Propozycji należy także docenić rolę reżysera Bogdana Mikucia, który z tej wieloaktowej, wieloobrazowej, wielowątkowej i wieloosobowej sztuki stworzył rzecz zrozumiałą, klarowną i skondensowaną.

Rozważając wszystkie za i przeciw, dochodzi się do wniosku, że „Gaudeamus igitur" Ludwika Świeżawskiego w pełni zasługuje na sceniczną realizację.

„Gaudeamus igitur" — Ludwika Świeżawskiego. Teatr Propozycji Polskiej Sztuki Współczesnej. Reżyseria — Bogdan Mikuć. Muzyka — Włodzimierz Korcz.

Wiersze młodych • Wiersze młodych • Wiersze młodych

ELŻBIETA WOŹNIAK–CIEPŁUCHA

Ikar

(Zainspirowane obrazem „Ikar" Brueghela)

Wyblakły półcień zielonej wody
ugniatanej ciężarem statków
zeskorupiałych z żaru.
Rybak o twarzy świątka
przekroił wodę jak galaretę.
Przekupki rozlane w plamy.
Ziemia podobna do czoła starca
oracza z lemieszem losu.
Pulsował tylko zegar
poza płóciennym napięciem.
Zaznaczał życie
po dwu jego stronach.
I tu
I tam
ginął Ikar przegrywając ze słońcem.

Elżbieta Woźniak Ciepłucha

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

* * *

oto wciąż czekam noc i dzień
mój bury cień ozdabia ścianę
tęczówki mojej lauru liść
w chlorku księżyca wypłukany

gardło okręci łańcuch słów
(matka opłatki w dłoniach łamie)
zakwitnie w piersiach gałąź bzu
zanim zegary spadną na nie

MIROSŁAW KUŹNIAK

Pieśń II

Ze wzgórzy do mnie idą przebrani za lasy.
W spoconych dłoniach niosą wielkie stosy słońca,
co płoną w mowie wilka zakrytego zboczem.

I idą śladem źródeł, które wiodą w morze,
gdzie ryba ich usłyszy, co od zorzy płynie,
coraz bliżej swej ciszy, która leży w soli,
coraz dalej ode mnie, gdy na brzegu stoję.

I sady im naprzeciw szeregiem wychodzą
gdy z dala przywołują światełkiem owoców
i głosem, który w wiatry jakiś ptak omotał.

A oni idą do mnie, więc na progu czekam
— już zieleń mi na twarzy ciemne smugi kładzie —
zaraz znakiem ich zamknę i otoczę słowem.

WŁADYSŁAW HUZIK

* * *

W Jarosławiu wierzby
i dziewczyny płaczą
— dokąd miły mój odjeżdżasz
dokąd losy gnają?

Biedna wioska i nie dźwięczna
nie Jarosław
— dokąd miły mój odjeżdżasz
dokąd niesie rozpacz

W każdej drodze ją pamiętam
w blaskach kół jej włosy
— za górami za lasami
tam cię miła znajdę

W każdej drodze ją pamiętam
gdy przymykam oczy
— drzewa suchym szponem gonią
wiatr płacze przy drodze

JANUSZ KRÓLIKOWSKI

Czy wystarczy światła?

Czy wystarczy światła
aby unieść ciężar
i powiedzieć więcej niż znaczy milczenie

Na przykład niech będzie wzlatujące słowo
które trwa w ciemności — bo nierozpoznane

Czy zdążysz je nazwać tak celnie że trafisz

Poeta w podróży nie dostrzega siebie —
niby przez lunetę patrzy przez swe ciało
i słucha co mówią
nie stworzone światy

FELIKS RAJCZAK

Piasta

Oto jest piasta w koło wpiastowana
przez kołodzieja — dla koła kolebka:
Źródło promieni unoszących obręcz
Po drogach — garstka miażdżonego ciepła

Powiedz: to gwiazda która toczy niebo
Zamilcz: to usta zmawiające rzeczy
Na kole jadą nasze dni i noce
Koło przemija i czas swój niweczy

MIECZYSŁAW KUCNER

Historia

Ciszej Nie płoszmy cienia od muru
Tu przeczekajmy szturm godzin aż chwila
stosowna nadchodząc grad wątpliwości odeprze

Rycerzu, już miecz wyważony w kamieniu nawisłym
już z rąk wypuściłeś ostatni argument
i pusta strzała utkwiła w powietrzu
jako osobliwość na powierzchni światła

Czasem tylko palba od lasu powraca
i późne zachody barwi krwią legendą.
Niech Kraszewski wyjaśni co jelita znaczą*
i niech milczy o Reszcie

Osobliwie
historia bo jest wierszem o tych
którzy ginąc w sobie podejmują walkę
jako kontynuację

Bąkowa Góra, lipiec 67

---

* J. I. Kraszewski w powieści „Jelita" opisał okrutnego rycerza Bąka, który sprzeniewierzył się królowi a przeto przykładnie został ukarany, zaś gród jego obrócony w perzynę. Na świadectwo tego do dziś oglądać możemy ruiny zamczyska w Bąkowej Górze, opodal Przedborza.

Rys. W. Kondek

TADEUSZ GICGIER

Ze szkicownika

NIEPOWODZENIE

Był ciepły dzień październikowy. Na trawniku leżał pies z zamkniętymi ślepiami, obok niego stała staruszka. Przechodziłem aleją, a gdy zrównałem się ze staruszką, ta zaczęła się przede mną użalać:

— Niech pan popatrzy, myślałam, że zasłabł z głodu, pobiegłam kupić mięsa do rzeźnika, przyniosłam mu wody, a on pożarł mięso, wychłeptał wodę i położył się z powrotem na słońcu. Wczoraj w sąsiedniej alejce znalazłam kawkę z przetrąconymi nogami, zaniosłam ją do lekarza w Ochronie Przyrody, lekarz ją opatrzył, a ona zaraz potem zdechła. A teraz znów ten pies, już drugi dzień tak mi się nie powodzi...

Odszedłem bez słowa. Cóż można rzec na groteskę ludzkiej samotności?

PODZIĘKA

Mieszkałem wtedy w drewniaku na poddaszu, wyjeżdżałem często na całe tygodnie. Któregoś razu, gdy wróciłem do domu, zapukała do mych drzwi sąsiadka z dołu, przynosząc mi rozkwitłe właśnie w ogródku nagietki. Zapytałem, czy nie wie, kto powiesił w korytarzu na poręczy starą poduszkę, bo zagnieździły się w niej mole i na pewno przedostaną się do mego mieszkania. Odpowiedziała, że to ona wyniosła poduszkę na strych, teraz wzięła ją pod pachę i zeszła ze schodów bardzo zmieszana.

Gdy była już na dole, uświadomiłem sobie, że zapomniałem podziękować jej za kwiaty.

WIERZBA

Rosła w parku nad stawem, który był wtedy dla mnie jeziorem, a chyba nawet morzem. Lubiłem wchodzić za ażurową zasłonę z jej gałęzi — był to mój pierwszy własny dom. Być może, że miałem wtedy jakieś kłopoty czy troski, ale ich już dzisiaj nie pamiętam.

Patrzę na wierzbę przy stawie z okna mego nowego domu. Inna wierzba, inny staw, inny dom. Nim tu się znalazłem, przeszedłem coś w rodzaju kataklizmu. Do tej pory czuję się jak las po przejściu huraganu.

A wierzba stoi cała. Każe wierzyć, że zabliźni się strzaskany pień, odrosną połamane gałęzie.

To nieprawda, że człowiek nadaje sens przedmiotom, że przydaje im określoną wymowę. W przedmiotach tkwi ten sens i ta wymowa. Inaczej wierzba nie przemawiałaby tak do mnie.

Co nowego w Wydawnictwie Łódzkim?

Rozmowa z dyrektorem WIESŁAWEM JAŻDŻYŃSKIM

ODGŁOSY: **Już dziesięć miesięcy temu objął Pan stanowisko dyrektora i zarazem naczelnego redaktora w naszej łódzkiej oficynie wydawniczej. Ponieważ jesteśmy u progu nowego roku, chcielibyśmy zapytać Pana, co zrobiono, co się robi, i co będzie się robić w WŁ? Dziesięć miesięcy, to chyba dość czasu, aby poczynić przygotowania do pewnych zmian i pewne zmiany wprowadzić?**

W. JAŻDŻYŃSKI: Zacznijmy wobec tego od przeszłości. W minionym, 1968 roku, obok normalnej działalności edytorskiej przeprowadziliśmy szeroko zakrojoną akcję dotarcia do łódzkich, i nie tylko łódzkich, środowisk kulturalnych. W moim przeświadczeniu — elementarnym zadaniem każdego ambitnego wydawnictwa powinno być maksymalne zaktywizowanie cennych — dostępnych mu — sił twórczych. Nie tylko pisarzy, poetów, krytyków, ale również naukowców, dziennikarzy, działaczy politycznych i społecznych, tych wszystkich, których doświadczenie i wiedza zasługują na upowszechnienie. Wiele by pisać o rozmowach, jakie mieliśmy z katedrami wyższych uczelni, z przedstawicielami najróżniejszych, kulturalnych, społecznych i politycznych związków. W każdym razie — były to rozmowy pasjonujące, i są już ich rezultaty.

ODGŁOSY: **Książki?**

W. JAŻDŻYŃSKI: Aha, Pan by chciał od razu książki. Ale — tak. Wiele dopiero pisanych i wiele już napisanych, czekających na wydanie książek.

ODGŁOSY: **Wspomniał Pan o krytyce. Zaskakujące. Była to dotąd niezapisana karta w dziejach Wydawnictwa...**

W. JAŻDŻYŃSKI: Postaramy się, aby została zapisana. Pierwszy sygnał, to cenna naszym zdaniem, monografia H. Karwackiej poświęcona Wandurskiemu. Inne prace są w przygotowaniu. Jerzy Tynecki pisze tom szkiców krytycznych o łódzkich (żyjących) pisarzach. Stanisław Kaszyński i Witold Śmiech przygotowują wydawnictwo encyklopedyczne, które, jak przypuszczam, ma na celu usystematyzowanie współczesnej łódzkiej literatury. Pozyskaliśmy również do współpracy kilka znanych piór pozałódzkich — Bogusława Fornalczyka, Bohdana Drozdowskiego, Wilhelma Szewczyka, Wojciecha Natansona, który wyda u nas monografię o Szaniawskim... Dużo jest do zrobienia. Łódź, miasto lewicy kulturalnej i artystycznej, ziemia bogatych tradycji rewolucyjnych, wciąż ma pierwszeństwo, i moralny obowiązek wydania książek-pomników o takich, związanych z naszym miastem ludziach, jak np.: Strug, Strzemiński, Tuwim, Braun czy Karpiński. Dział krytyczny i historyczno-literacki zostałby tu, rzecz jasna, rozszerzony po krytykę i historię sztuki — w ogóle. I nie chcemy się tu ograniczać jedynie do zjawisk kulturalnych naszego regionu, czego dowodem może być wydana już w pięknej szacie graficznej książka Ludwika Świeżawskiego o Grottgerze, i przygotowane do wydania takie książki, jak np.: monografia o Wyspiańskim.

ODGŁOSY: **Wspomniał Pan także o dziennikarzach?**

W. JAŻDŻYŃSKI: Wspomniałem. Cieszę się, że udało nam się pozyskać do współpracy kilka czołowych piór reporterskich Łodzi — i nie tylko Łodzi. Ale mówmy o naszych dziennikarzach. — Po reporterskich anegdotach „wspomnieniowych" Urbankiewicza który pracuje nad ich ciągiem dalszym, po opowieściach niezmyślonych Tadeusza Szewery — ukażą się w niedługim czasie książki Pogorzelca, Bąbińskiego, Bąbola. Z innymi dziennikarzami też podpisaliśmy umowy i z wiarą czekamy na płody ich talentu.

ODGŁOSY: **W naszej świadomości WŁ jest przede wszystkim wydawnictwem literackim. Co nowego w tej dziedzinie?**

W. JAŻDŻYŃSKI: W dalszym ciągu wiele uwagi poświęcamy poezji. W bieżącym roku ukaże się kilkanaście tomików poetyckich, m. in.: S. Czernika, M. Szargana, W. Mrozowskiego, A. Kasprowicza i innych znanych i mniej znanych, łódzkich i nie łódzkich: kieleckich, opolskich, olsztyńskich poetów, którym jak umiemy tak pomagamy (nie mają przecież własnych wydawnictw). Patronujemy także młodym twórcom z KKMP.

ODGŁOSY: **A co z prozą?**

W. JAŻDŻYŃSKI: Pytanie o tyle kłopotliwe, że nie chciałbym nikogo pominąć, a wyliczenie wszystkich, mających się ukazać pozycji i opatrzenie każdej z nich najkrótszym choćby komentarzem, przekracza ramy naszej rozmowy. W każdym razie — wszystkie czołowe pióra Łodzi, i wiele piór pozałódzkich, między innymi Brycht, Miernik, Ogrodziński, Kowalski, Dębnicki, Gruda.

ODGŁOSY: **Doszły nas słuchy o rozbudowaniu działu literatury młodzieżowej, o mających się ukazać powieściach Niziurskiego, Nienackiego...**

W. JAŻDŻYŃSKI: ...Kopczyńskiego, Sikiryckiego, Lorentzowej i innych. Współautorami tych pięknie wydanych książek będą plastycy, których rola nie ograniczy się tylko do zaprojektowania okładki, lecz także do wsparcia fabuły interesującymi i barwnymi rysunkami.

ODGŁOSY: **A co poza tym?**

W. JAŻDŻYŃSKI: Tomy satyry Mariana Piechala i Zygmunta Fijasa. W dziale literatury pamiętnikarskiej jeszcze w tym roku pojawią się wspomnienia Safrina, a w niedługim czasie — Sztaudyngera, Mackiewicza i Czernika.

ODGŁOSY: **Słyszeliśmy o o żywionych kontaktach WŁ z twórcami Ziemi Kieleckiej. Czym to wytłumaczyć?**

W. JAŻDŻYŃSKI: Na pewno nie tylko moim sentymentem do tej ziemi i do tych ludzi. Ale to wspaniała ziemia. I wspaniali ludzie. Wspaniałe tradycje — partyzanckie, rewolucyjne, folklorystyczne... Kielce przygotowują dla WŁ własny plan wydawniczy...

ODGŁOSY: **Kielce, Opole, Olsztyn... Czyżby to miała być uwertura do przeobrażenia WŁ w wydawnictwo centralne?**

W. JAŻDŻYŃSKI: Centralne? Nie jest to naszym obsesyjnym marzeniem. Oczywiście, postaramy się wyjść poza opłotki wąsko pojętego regionalizmu, ale służba Ziemi Łódzkiej zawsze będzie naszym pierwszym celem. A jak jej będziemy służyć? Poprzez głębsze, wnikliwsze niż dotąd studia nad jej dziejami i jej współczesnością.

Przygotowujemy kilka wydawnictw albumowych, wśród których znajdzie się m. in. fotograficzny, reprezentacyjny album o współczesnej Łodzi oraz album politycznych dziejów miasta, w którym znajdą się ulotki, druki, odezwy z czasów Pierwszego i Drugiego Proletariatu, wydawnictwa PPS, pisma Dzierżyńskiego i Marchlewskiego. Myślimy także o serii książek omawiających okres okupacji i walk narodowo-wyzwoleńczych na terenach Ziemi Łódzkiej, dla przykładu: ukaże się książka poświęcona tajnej, okupacyjnej oświacie w Piotrkowie, książki o Szarych Szeregach Zgierza i Pabianic, wyjdzie jeszcze w tym roku, „Śpiewnik patriotyczny" Tadeusza Szewery, będący antologią wojennej — ulicznej, podwórkowej i leśnej — piosenki. W. Bortnowski pracuje nad wydawnictwem „Łódź w ogniu" (II wojna światowa), Piotr Kuku ła pisze o utrwalaniu się władzy ludowej na terenie naszego województwa, dr Barszczewska o udziale Łodzi i okręgu łódzkiego w dziejach ruchu narodowo-wyzwoleńczego XIX w., Karwacki o historii Związków Zawodowych w Łodzi, Kieszczyński o walkach strajkowych włókniarzy łódzkich w latach 1929—33. Wyjdą pamiętniki PPR-owców i wiele innych, pasjonujących pozycji historycznych, popularnonaukowych i politycznych, będących owocem naszej współpracy z prężnym, naukowo-kulturalnym środowiskiem naszej Łodzi.

ODGŁOSY: **Jakie są inne, niewyszczególnione dotąd przez Pana marzenia i plany Wydawnictwa Łódzkiego na najbliższe lata?**

W. JAŻDŻYŃSKI: No, cóż... Mamy zamiar zabiegać o prawo do wydawania „naszych", „łódzkich" klasyków: Reymonta, Struga, Tuwima — na których monopol mają jak dotychczas wydawnictwa centralne, podobnie zresztą jak tłumaczenia. Te ostatnie też wchodzą w zakres naszych planów. Pośród łódzkich literatów jest wielu potencjalnych tłumaczy — rusycystów, romanistów, anglistów, germanistów — dzięki którym moglibyśmy oddać w ręce polskiego czytelnika wiele cennych a dotąd nie tłumaczonych dzieł literatury światowej. Postaramy się także pomóc w ustabilizowaniu „Osnowy", tak aby ukazywała się regularnie, co kwartał i jak sądzę, dopnie my tego już w tym roku.

ODGŁOSY: **Co poza tym?**

W. JAŻDŻYŃSKI: Poza tym — wydawać coraz piękniej i coraz więcej. Tak, aby jakość szła w parze z ilością. W bieżącym roku wydamy osiemset arkuszy, ale dołożymy starań, aby liczba ta urosła w 1970 roku do tysiąca, a w roku 1971 do tysiąca stu arkuszy.

ODGŁOSY: **Życzymy tego gorąco — Panu, sobie i naszemu miastu. Dziękuję.**

Rozmawiał:
Andrzej Makowiecki

PÓŁKA z książkami

SAGI WARSZAWSKIE

I jeszcze jedna książka wytrawnego dziennikarza — tym razem żyjącego (oby jak najdłużej) Olgierda Budrewicza. Ów wielce utalentowany miłośnik i piewca Warszawy wznawia swoje „Sagi warszawskie", których egzemplarze z pierwszego nakładu można nabyć już tylko w antykwariatach.

„Sagi" w gawędziarskiej formie wprowadzają czytelnika w świat trzech pokoleń znakomitych mieszczańskich rodów Warszawy. Są tu Korotyńscy, Kotarbińscy, Rapaccy, Gebethnerowie... Wszystko — jak za Gałczyńskim powtarza autor — gwoli „ocalenia od zapomnienia", podane w stylu uroczym, właściwym Budrewiczowi: „Potem, w sąsiedniej izbie, popijałem długo w noc nalewkę z karafki z powstaniowym szlifem: Boże zbaw Polskę... opowieść zaś pani Zdzisławy kontynuował jej syn Jerzy, a także posiadane przez niego liczne dokumenty. W końcu ułożyłem się do snu pod szablami, pistoletami i orderami..."

Żeby tak Łódź swego Budrewicza znalazła i wydała. Żeby znalazła...

Dlk

*) Olgierd Budrewicz, „Sagi warszawskie", Czytelnik, 1968, wydanie drugie, cena 10 zł.

LISTY CONRADA

Długo czekaliśmy na ten pierwszy w języku polskim wybór „Listów" Josepha Conrada. Ale „za długie czekanie, dobre dostanie". Znany conradysta Zdzisław Najder, autor tomu esejów „Nad Conradem" (1965) dokonał trudu nie lada: wybrał i przygotował do druku czterysta conradowskich listów do krewnych, przyjaciół, znajomych i pisarzy zarówno w Polsce jak i w Anglii, opatrzył je znakomitą przedmową i bardzo cennymi przypisami. Najder pisze we wstępie: „Starałem się, by wybór pokazał możliwie najpełniej warunki i sposób pracy Conrada, a przede wszystkim jego nastroje i poglądy." Trzeba powiedzieć, że cel edytora został osiągnięty. Od najwcześniejszego listu (1883), do ostatniego (1924) śledzimy życie i twórczość tego wielkiego pisarza angielskiego, Polaka z pochodzenia, jego kłopoty życiowe i literackie, zaznajamiamy się z jego poglądami na sprawy artystyczne i społeczne. Powiedzmy sobie, że Conrad nie był rasowym epistolografem, jego listy nie są „prywatnymi utworami literackimi", ale przecież bogactwo w nich zawarte jest bezsporne. Dla miłośników i badaczy twórczości Conrada, tom tych „Listów" zawiera materiał wielce interesujący, który — jak to się mówi — rzuca snop światła na jego niełatwe dzieje. Szczególnie cenne są listy autora do swego wuja, Tadeusza Bobrowskiego, do tłumaczki Anieli Zagorskiej, do Bruno Winawera oraz do Johna Galsworthy'ego, wybitnego pisarza i przyjaciela Conrada. Przekładu angielskich listów na język polski dokonała w sposób bardzo piękny Halina Carol-Najder. Książkę wzbogacają zdjęcia Conrada i faksymile jego rękopisów.

jk.

Joseph Conrad: „Listy", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1968, str. 514, cena zł 60,—.

POCZĄTEK OPOWIEŚCI

To prawda: Zbigniew Mitzner (Jan Szeląg) już tej książki do rąk nie weźmie, nie przewróci jej kart. Odszedł po życiu pracowitym, bogatym w owoce swego pisarskiego talentu. Zostawił nam — jako ostatnią rzecz — dzieło solidne, 340 stron liczące, opatrzone skromnym podtytułem „felieton historyczny". *)

Jest to książka niezwykła na naszym rynku wydawniczym, ubogim jeszcze w źródłowe rozważania na temat historii najnowszej. Obok „My, Pierwsza Brygada" red. Arskiego stanowi praca Jana Szeląga rodzaj wykładu przybliżającego epokę niedawną, a przecież zapomnianą, pokrytą szkodliwą patyną mitów, tworzonych „z lewa i z prawa".

Autor skromnie widzi rolę swojego dzieła. Pisze we wstępie, że na temat lat 1926—1939 można napisać całą bibliotekę opracowań i rozważań. Rezerwuje sobie tylko miejsce na początku tej opowieści. Starał się — skutecznie — o zgromadzenie najbardziej ewidentnych materiałów dokumentalnych, zdjęć, wywiadów, przemówień, nawet wierszy generała Wieniawy. Własnym, celnym komentarzem ingerował w ten zbiór z oszczędnością człowieka obiektywnego.

W książce najwięcej miejsca poświęcono dziejom kryzysu gospodarczego w Polsce, rządom „ekipy pułkowników" i walce Piłsudskiego z parlamentem.

Mądra i potrzebna jest książka Jana Szeląga.

„13 lat i 113 dni" wydano pięknie, nie szczędząc kosztów.

Dlk

*) Jan Szeląg, „13 lat i 113 dni", Czytelnik, 1968, wydanie pierwsze, cena 50 zł.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Ci z Landwarowa

Książka Ewy Ostrowskiej — „Nim jabłoń zdziczeje" należy do beletrystyki o tematyce przesiedleńczej, różni się jednak od wielu podobnych utworów tym, że autorka nie dała i dać nie zamierzała rozległego obrazu problemów związanych z procesem wrastania repatriantów w nową i odmienną dla nich rzeczywistość, poprzestała natomiast na ukazaniu tego procesu w aspekcie losów jednej tylko rodziny przesiedleńców prezentując to, co nie mieściło się w ramach tych jednorodzinnych losów, raczej w sposób marginesowy i aluzyjny. Ze względów, o których niżej, wydaje mi się jednak, że to samoograniczenie wyszło książce na dobre.

Cóż to za rodzina, o której mówi się tak obszernie w powieści Ostrowskiej. Rodzina przesiedlona (wraz z wielu innymi) z podwileńskiego Landwarowa do mazurskiej Ornety?... Klan Horotyńskich — to dziadek i babka, trzy dorosłe córki, zięciowie i wnuki. Część tej rodziny mieszkała przed wojną w Wilnie, pozostali w Landwarowie. Dobrze im się tu działo: mieli własny wygodny dom, duży ogród, gdzie wiosną kwitły jabłonie, a latem pachniały kwiaty, naprzeciw domu zaczynał się las, w lesie było jezioro, słoneczne polany i inne uroki natury. Dziadek był „prostym" maszynistą kolejowym, „za to" babcia pochodziła ze zdeklasowanej rodziny ziemiańskiej (o czym nigdy nie chciała zapomnieć) — i ten właśnie „mezalians" stał się źródłem wielu sporów i niesnasek małżeńskich. Z wyroku historii nadszedł wkrótce po wojnie dzień, kiedy trzeba było opuścić zasiedziałe landwarowskie gniazdo, by rozpocząć nowe życie na nieznanej przedtem ziemi.

Wyrzekając się, jak powiedziałem, odtwarzania spraw repatriacyjnych w wymiarach epickiej panoramy, autorka ześrodkowała swą uwagę na osobach i postawach członków rodziny Horotyńskich i zaprezentowała bogatą galerię „portretów rodzinnych" o nieprzeciętnej kolorystyce i wyrazistości. Wspomnę tutaj np. z pietyzmem namalowany konterfekt mądrego, naskroś uczciwego i szlachetnego w swej prostocie dziadka albo dowcipną sylwetkę pustogłowej elegantki — cioci Broni. Ale najplastyczniej i chyba najdokładniej wypadł portret babki, kobiety kłótliwej, despotycznej, tyranizującej całą rodzinę, nie pozbawionej jednak i cech wysoce pozytywnych; niestety, jaśniepańskie fumy i zatwardziałe uprzedzenia nie tylko tłumiły w tej kobiecie naturalne odruchy dobroci i nawet poświęcenia, lecz popychały ją niekiedy do czynów nieobliczalnych i wręcz niegodnych. Ten skomplikowany, wielobarwny — fizyczny i duchowy — portret babci Horotyńskiej — to mały majstersztyk, bardzo dobrze świadczący o kwalifikacjach autorki w zakresie literackiego konstruowania ludzkich osobowości.

Zresztą, są w powieści Ostrowskiej również inne partie zasługujące na podkreślenie i uznanie. Zaliczyłbym do nich coś w rodzaju trenu czy elegii na śmierć dziadka, która to elegia jest zarazem pełną lirycznej ekspresji wizją nieuniknionego po tej śmierci rozkładu i upadku tego wszystkiego, co dotychczas wiązało i łączyło rodzinę Horotyńskich.

I jeszcze jedno: jest w książce Ostrowskiej krótki, lecz żywo przejmujący rozdział o pobycie małej Helenki w pewnym zakonnym „zakładzie wychowawczym". Niestety, „wychowawczyniom" brak było nie tylko wszelkich kwalifikacji pedagogicznych, ale nawet — zdrowego rozsądku. A co gorsza — te „wychowawczynie" obciążone były wyraźnie tendencjami sadystycznymi. Historię pobytu Helenki w zakonnym Bogdańcu można zrozumieć tylko mając na uwadze, iż te ponure sprawy działy się w najpierwszych powojennych latach. Takie metody „wychowawcze" z pewnością zostały już dawno w Polsce zlikwidowane; gdyby zaś jakimś przypadkiem pozostały gdzieś — w jakimś zakątku czy zaścianku — najdrobniejsze choćby relikty tych osobliwych metod, powinny się nimi zająć niezwłocznie nie tylko władze oświatowe, lecz i pro kuratorskie.

Oto chyba wszystko, co chciałem tu napisać po przeczytaniu interesującej powieści Ewy Ostrowskiej.

*) Ewa Ostrowska, „Nim jabłoń zdziczeje", wyd. „Czytelnik", str. 151 i 1=1, cena 10 zł

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

„MIESZCZANIE"

w Teatrze Ziemi Łódzkiej

Napisany w 1902 roku dramat Maksyma Gorkiego „Mieszczanie" zawiera w zalążku wszelkie cechy pisarstwa, które w późniejszych utworach autora „Wassy Żeleznowej" (1910 r.) i „Jegora Bułyczowa" (1932 r.) wystąpią już z całą wyrazistością jako elementy nowego kierunku, stworzonego przez Gorkiego i nazwanego „realizmem socjalistycznym". W „Mieszczanach" specyficzne właściwości estetyki Gorkiego występują w sposób — jeżeli tak można powiedzieć — przyciszony robiąc nie mniejsze, a może nawet niekiedy większe wrażenie niż wtedy, kiedy autor deklarował z całą bezwzględnością i mocą swoje przekonania polityczne i artystyczne.

W 1934 roku w „Rozmowie z młodymi pisarzami", zamieszczonej w zbiorowej książce pod tytułem „O pracy pisarza" Gorki już pełnym głosem powie: „Wszystkie jej (burżuazji — dopisek mój) dążenia w teorii i w praktyce sprowadzają się do jednego: jak powstrzymać proletariat na drodze do władzy? Jak go obezwładnić. W „Mieszczanach" — podkreślam to — artystyczny obraz walki klasowej nie jest jeszcze przedstawiony z taką siłą i pasją polityczną, z jaką będzie eksponowany w późniejszych utworach dramatycznych pisarza. Mniej uważny widz mógłby nawet dostrzec w tej sztuce raczej walkę pokoleń. Wskazywałyby na to w istocie ostre filipiki i rekryminacje starego grosznoroba Bezsiemionowa przeciwko synowi i córce i jego niesłuszne zarzuty, podyktowane starczą zgryźliwością, że Piotr i Tania, którym dał wyższe wykształcenie, lekceważą, a nawet odnoszą się pogardliwie do rodziców. Wskazywałby również (pozornie) na walkę pokoleń „bunt" młodego studenta, Piotra, przeciwko tak zwanej moralności i obyczajowości mieszczańskiej oraz bezradny protest skazanej na staropanieństwo Tani, która usiłuje popełnić samobójstwo. Są to jednak tylko pozory. Piotr i Tania bynajmniej nie reprezentują młodych bojowników, walczących z prawdziwie postępowych pozycji. Tych dwoje młodych „buntuje się" przeciwko społeczeństwu w ogóle i to w imię własnych celów, i w imię niejasno brzmiącego hasła „wolności jednostki". Wolności, ale — ku czemu? chciałoby się zapytać. Prawdziwa i jakby zaciemniona poprzez „protesty" i „bunty" rodzeństwa Bezsiemionowych walka klasowa toczy się na innym froncie, pomiędzy starym Bezsiemionowym a jego wychowankiem, Niłem, maszynistą, młodym człowiekiem o socjalistycznych zapatrywaniach. „Zaciemnienie" jest podwójne: przez wspomniany „bunt" rodzeństwa i przez to, że Gorki nie ujawnia expressis verbis, co jest przyczyną animozji starego dusigrosza do jego wychowanka, Niła: czy to, że Nił zdradza się ze swymi socjalistycznymi poglądami, czy to, że poślubia ubogą Polę, zamiast posażnej Tani. Można sądzić, że oba powody wzbudzają nienawiść Bezsiemionowa. Natomiast wypowiedzi Niła są jednoznaczne, jakkolwiek — co znów podkreślam — nieco zawoalowane: „Prawa nikt nie daje, prawo zdobywa się samemu", albo: „W jednym tylko nie widzę nic przyjemnego — w tym, że mnie i innym uczciwym ludziom rozkazują idioci i złodzieje"; (ale) „nie ma takiego rozkładu jazdy który by nie uległ zmianom" itp.

Może dziwić fakt, że Gorki w „Mieszczanach" wyposażył męskie postacie swej sztuki w bogatsze i bardziej znaczące wypowiedzi niż postacie kobiece. I dlatego najbardziej interesująco wypadł chyba wychowanek Bezsiemionowa — Nił, który znalazł w Euzebiuszu Olszewskim dobrego odtwórcę, gestykulującego żywo i przekazującego tekst z żarliwym przekonaniem o słuszności swej sprawy. W roli starego Bezsiemionowa Tadeusz Teodorczyk starannie rozłożył akcenty gniewu i tępego uporu w walce z synem (Bogdan Juszczyk), córką (Małgorzata Kozłowska) i Pierczychinem, ptasznikiem. Jowialny humor odtwórcy tej roli, Aleksandra Benczaka, harmonizował z „filozofią" życiową przypisaną tej zabawnej postaci przez twórcę sztuki. Spośród „pokrzywdzonych" przez Gorkiego w „Mieszczanach" postaci kobiecych najwięcej do powiedzenia w roli Krwcowej wdowy po naczelniku więzienia, miała Jolanta Szemberg, która finezyjnie rozwiązała swe zadanie uwodząc ku oburzeniu Bezsiemionowa i zgorszeniu jego żony nieszczęsnego Piotra. Bardzo interesujące, zarówno pod względem interpretacji aktorskiej, jak i wyglądu zewnętrznego postacie stworzyli Remigiusz Rogacki w roli śpiewaka cerkiewnego i Władysława Skwarska w roli Akuliny jako wiecznie zatroskanej matki. W pozostałych rolach wystąpili: Jadwiga Derżyńska, Dymitr Hołówko, Alina Jurkowska, Leokadia Jurdzińska, Walentyna Sakkilari i Tadeusz Kożusznik. Scenograf Henri Poulain zaprojektował pokój stołowy w stylu na przełomie XIX i XX wieku, to znaczy, wnętrze ponure i odpychające, takie właśnie, w jakim się rozgrywały mieszczańskie tragikomedie w czasach fin-de-siecle'u i w początkach dwudziestego stulecia. W toczącej się wartko akcji na scenie widać było doświadczoną rękę reżysera Anieli Borysławskiej.

Jolanta Szemberg (Helena) i Bogdan Juszczyk (Piotr).
Fot. Fr. Myszkowski

Maksym Gorki „Mieszczanie"
sztuka w 4 aktach
Przekład: Paweł Hertz i Seweryn Pollak
Scenografia: Henri Poulain
Opracowanie muzyczne:
prof. R. Iżykowski

spektakle tygodnia

TEATR WIELKI			
„Zemsta nietoperza"	2 spektakle	2552 widzów	100%
„Straszny Dwór"	1 spektakl	1212 „	95%
„Dama pikowa"	1 „	1085 „	85%
„Rigoletto"	1 „	1082 „	85%
„Tosca"	1 „	1212 „	95%
NOWY			
„Czerwone pantofelki"	5 spektakli	3500 „	100%
„Żeglarz"	4 spektakle	2800 „	100%
„Rewizor"	2 „	1400 „	100%
MAŁA SALA			
„Księżyc świeci nieszczęśliwym"	2 „	400 „	100%
„Bliski nieznajomy"	5 spektakli	1000 „	100%
POWSZECHNY			
„Rzecz listopadowa"	2 spektakle	1320 „	100%
„Kawior i kaszanka"	2 „	1290 „	98%
Turniej z czarodziejem (bajka)	2 „	1320 „	100%
JARACZA			
„Przedwiośnie"	5 spektakli	3150 „	100%
„Niemcy"	3 spektakle	1890 „	97%
7,15			
„Zajączek Zorro" (bajka)	3 spektakle	1260 „	100%
„O sierotce Marysi i krasnoludkach" (bajka)	1 spektakl	420 „	100%

JERZY WILMANSKI

Polski Roosevelt czyli sprawy cięte i ząbkowane

Filatelistyka — ileż kpin na ten temat można usłyszeć i przeczytać! Właściwie nie wiadomo skąd się to lekceważenie bierze — taki sam „konik" jak każdy inny, może bardziej wartościowy poznawczo, bardziej kształcący — ale to przecież nie powód do kpin. A może to „hobby" bardziej od innych hermetyczne?

Któż bowiem pojmie taki dialog?

— Za polski zwierzostan daję czystą independence 427, 428 wg Yverta.

— Postaraj się o polskiego Roosevelta, to ci dodam Panapex 52.

Trudne? Wcale nie. „Polski zwierzostan", to znaczki z motywem zwierzęcym, które rozmówca chce wymienić na serię wydaną w roku 1954 z okazji 5-lecia niepodległości Filipin. Numery 427, 428 to pozycje jakie zajmują one w katalogu Yverta. „Polski Roosevelt" to polski znaczek lotniczy z podobizną prezydenta USA, bardzo u nas rzadki. Wydano go w 1948 roku — kosztował wtedy 80 groszy — dziś oficjalnie wycenia się go na 300 zł. Panapex natomiast to seria z okazji I Panazjatyckiej Wystawy Filatelistycznej w Manili w roku 1962. Proste?

Filatelistyka dawno już przestała być zabawą dziecięcą. Stała się instytucją, wiele państw dzięki niej podbudowuje swoje budżety, najtęższi spece od poligrafii głowią się nad... fałszerstwami. Czy fałszuje się dziecięce zabawki?

O znaczkach i filatelistyce, o niezaprzeczalnych walorach kształcących i poznawczych tego hobby — napisano wiele książek. Nie będę więc przypominał historii zbieractwa, które zaczęło się w roku 1841 — zaledwie w rok po wydaniu pierwszego znaczka pocztowego — jednopensówki z wizerunkiem angielskiej królowej Wiktorii. Dwadzieścia lat później na ziemiach polskich wprowadzono do obiegu znaczek o nominale 10 kopiejek zwany dziś „Pierwszą Polską". Pod carskim dwugłowym orłem i napisem cyrylicą widnieją polskie słowa: „za 10 kop. 10". Znaczyło to, że na list o ciężarze 1 łuta należało przylepić znaczek za 10 kopiejek.

Carski, dwugłowy orzeł widniejący na „Pierwszej Polsce" miał na piersiach tarczę z polskim orłem. Wszedł do obiegu 1 stycznia 1860 roku — wycofano go w kwietniu 1865. Następny polski znaczek ukazał się dopiero po pół wieku. Ale we wszystkich światowych katalogach Polska mimo zaborów była reprezentowana tym jednym, jedynym znaczkiem. I tysiące ludzi w świecie, tysiące filatelistów wiedziało o istnieniu Polski i pamiętało o tym właśnie dzięki malutkiemu skrawkowi papieru... Dziś cena tego skrawka papieru waha się od 3 do 16 tys. zł. O tym jednym znaczku pisano całe tomy. Ale to już rejony tzw. klasycznej filatelistyki dostępnej tylko wybranym — filatelistycznej „arystokracji".

Dziś cały świat zbiera „problemowo" czyli tematycznie. Choć i tu są kłopoty. Jeśli jakiś temat np. — malarstwo staje się modny, jeśli co trzeci filatelista zaczyna kompletować zbiory malarstwa — w paradę wchodzą wydania spekulacyjne. Raptem jakiś szejkanat arabski czy inne miniaturowe państewko posiadające wszystkiego dwa urzędy pocztowe na krzyż i 90 procent analfabetów wydaje bardzo drogie serie z „Moną Lizą", z reprodukcjami Rembrandtów i Rafaelów. Zwykły, szary filatelista nie ma co marzyć o tych „egzotykach" drukowanych zresztą najczęściej gdzieś w Szwajcarii czy Francji. Oczywiście kompletność zbioru diabli biorą. Tak „skończył się" temat „Kosmos", tak kończy się Malarstwo... „Kosmiczne" znaczki z podobiznami Gagarinów i Shepardów wydawały (luksusowo, pięknie i... drogo) państewka, w których szamani modlą się do samolotu sądząc, że to wielki ptak przysłany przez bogów.

Starzy filateliści kiwają głowami mówiąc: „Skończy się filatelistyka, za wiele ludzi chce na niej zarabiać". Szlachetna pasja stała się wielkim handlem — nikt już nie wierzy autorytatywnym katalogom Zumsteina, Yverta, Michla... Wydają je firmy filatelistyczne, które w trakcie skupowania określonych pozycji zaniżają w swych katalogach ceny, aby je gwałtownie podnieść przed powtórnym rzuceniem znaczków na filatelistyczny rynek.

Filateliści przestają więc wierzyć katalogom, albo wierzą im wtedy kiedy jest to wygodne. Choć nie chcą się do tego przyznać — sami zostali wciągnięci w handlową kołomyjkę.

Właśnie w kołomyjkę. To określenie pasuje jak ulał do błędnego koła filatelistyki. Zeszłoroczny cennik znaczków zagranicznych wydany przez „Ruch" podaje tak nierealne ceny, że nikt przy zdrowych zmysłach nie sprzeda znaczków w sklepie „Ruchu", ani nie może się nim posługiwać jako podstawą przy wymianie.

W każdym prywatnym kantorze filatelistycznym otrzyma bowiem wyższą cenę. W efekcie ciekawszych wydań krajów demokracji ludowych (nie mówiąc już o zachodnich) nie ma co szukać w „Ruchu".

Przykładem choćby wciąż poszukiwana

TERESA WOJCIECHOWSKA

W czym się bawić?

Miałam straszny sen. Śniło mi się, że jestem na Balu Prasy w sukni kupionej w Domu Towarowym za złotych tysiąc i ho ho. Wchodzę na salę i moje dobre samopoczucie znika. Bo oto na parkiecie w let'skissie podryguje taka sama jak moja suknia, a trzecia, nie świadoma jeszcze nieszczęścia, wraz z koniakiem połyka komplementy partnera. Spuszczam ku ziemi przerażony wzrok i widzę: oto jedne obok drugich srebrne pantofelki made in Radoskór, wyprodukowane w ubiegłym roku, bo w tym na rynku balowych nie uświadczysz. A ja myślałam, że te zeszłoroczne tylko u mnie ocalały.

Przebudzenie było prawdziwą ulgą. Po pierwsze, nie wybieram się na Bal Prasy. Po drugie, nie kupowałam żadnej sukni i nie będę kupować. Ale złe sny, jak to stwierdził Freud, a życie potwierdza, mają zawsze realne podłoże. Właśnie przez kilka dni chodziłam po sklepach, żeby zobaczyć co też handel oferuje swym klientkom na karnawałowe szaleństwo. To była trudna droga.

Dom Mody „Parada", Piotrkowska 87. Na piętrze wita mnie manekin — symptom karnawału, odziany w suknię z różowej lamy z żółtym chomątem i żółtą plisą na dole. Na wieszakach kilkanaście sukienek z których jedne są nadzwyczaj brzydkie, a inne trochę mniej. To oczywiście podług mojego gustu, na pewno autorzy tych kreacji „Ledy" są przeciwnego zdania. Co najwyżej mogą wspomnieć o trudnościach w nabywaniu tkanin. Tak, tu na pewno nic nie kupię. Decyzja jest zresztą czysto retoryczna, bo te wszystkie suknie są małych rozmiarów, a zresztą przecież ja w ogóle nie mam zamiaru kupować.

Potem dalsza wędrówka. Sklep przy Piotrkowskiej 15 — kilka sukienek „Mody Polskiej" starannie ukrytych w plastikowych workach. Ekspedientka mierzy mnie fachowym wzrokiem: za małe, nie dla pani.

Piotrkowska 14. Znów powtarzają się suknie „Ledy". Rozmiary też tylko małe.

„Uniwersal". Tu prezentuje się „Prodextra", która jak wynika z nazwy, uważa swoje wyroby za produkcję ekstra. Istotnie, wybór nieco większy, lepsze tkaniny, tylko niestety, same małe rozmiary. Czyżby Polki były takie szczupłe i małe? Widocznie obracam się w nietypowym środowisku. Jeszcze kilka sukien „Mody Polskiej". Przecenione z 1400 na 800 złotych. To znaczy, że zeszłoroczne.

„Janina", Piotrkowska 100. Tu panuje „Modny Strój". Też niezbyt modnie. Bo choć wszystko, co w sklepach oglądam jest produkcją bieżącego sezonu, suknie karnawałowe nie odbijają tegorocznej mody, trochę ekstrawaganckiej, lansującej kasaki do spódnic lub spodni przypominających starszemu pokoleniu piżamy z lat trzydziestych, fantazyjne zapięcia na boku, falbany, zaokrąglone poły. Zakłady produkujące suknie koktajlowe dla handlu unikają ekstrawagancji, unika jej przy zakupach handel. Raczej coś spokojnego, co może ewentualnie przeleżeć do następnego sezonu, coś o bardziej wszechstronnym niż bal czy zabawa zastosowaniu.

Tyle oględzin, czas na nieco teorii i rozmowy.

ŁODZIANKI NIE CHCĄ...

Rozmawiam z przedstawicielami handlu. MHD — Odzież, Śródmieście. Oto wiedza, którą wyniosłam stamtąd. Źródła tego typu odzieży dla handlu państwowego stale się kurczą. W tej chwili pozostała już tylko „Leda". Kurczy się również ilość zakupywanych sukien karnawałowych. W tym roku zakupiono na cały sezon 150 sztuk. Nic nie wskazuje na to, że będzie to ilość zbyt mała. „Leda" nie zaprasza przedstawicieli łódzkiego MHD na pokazy sukien wieczorowych. Więc potem kupuje się co jest, bez wyboru. Inne źródła zakupu odpadły. „Moda Polska" szyje obecnie już tylko dla swoich salonów w kilku miastach kraju (w Łodzi salonu takiego nie ma). „Modny Strój" dostarcza swą produkcję spółdzielczości, „Prodextra" — domom towarowym i częściowo spółdzielczości. A wszyscy razem szyją tylko suknie małe, dla kobiet drobnych i szczupłych. „Leda" na przykład uznaje tylko klientki do nr 48. Oszczędność tkanin? Nastawienie się na klientki młodzieżowe? Prawdopodobnie jedno i drugie.

Od ładnych kilku lat MHD prowadzi wypożyczalnię sukien balowych i ślubnych. Początkowo był to salon przy Piotrkowskiej 128. Z braku zainteresowania PT Klienteli salon przekształcił się w kącik przy sklepie sąsiadującym z salonem. I w dalszym ciągu nie cieszy się powodzeniem. W przeciwieństwie do prywatnych wypożyczalni, choć ceny w tych ostatnich są znacznie wyższe.

A JEDNAK ŁODZIANKI CHCĄ...

W MHD powiedziano mi, że łodzianki nie interesują się gotową konfekcją balową. Nawet się bardzo nie zdziwiłam. I nawet uwierzyłabym, gdyby nie rozmowa z dyrekcją „Telimeny". Nie sprawdziłam w sklepie „Telimeny" jak tam z sukniami na karnawał, bo okazało się, że trwa tam właśnie remont. Remont zamiast sukni — to nawet sprytny pomysł. Ale okazało się, że to nie to. Bo remont trwał tylko kilka dni, mógł jednak trwać i dłużej, bo sukni i tak już nie ma. „Telimena" rozpoczęła sprzedaż sukien balowych w pierwszych dniach listopada i uporała się z nimi prawie całkowicie do karnawału, a raczej do Sylwestra. Na początek stycznia zostały już resztki.

Opinia dyrektora do spraw handlowych brzmi: łodzianki przekonały się do konfekcji gotowej i w tym roku balowe i ślubne suknie „Telimeny" zostały wyprzedane znacznie szybciej niż na przykład w ubiegłym roku. Prawdę mówiąc, niewiele tego było. Cała karnawałowa oferta „Telimeny" wynosiła sześć tysięcy sukien, co dla tego przedsiębiorstwa jest produkcją dużą, ale dla całej Polski — niewiele. Łodzi przypadło z tego 1 200 sukien, notabene w cenach wcale niebagatelnych bo od 600 do 2 700 złotych. I nawet te najdroższe nie pozostały na wieszakach.

Wobec tych doświadczeń „Telimena" zamierza w przyszłym roku przedłużyć sezon

karnawałowy w swym sklepie na styczeń, ale przecież wiemy, że ma ograniczone możliwości produkcyjne. Więc choć cieszy powodzenie łódzkiej placówki, to ogólnej sytuacji nie rozwiązuje. A jak się okazuje — łodzianki chcą ryzykować i chcą się na bal ubierać w konfekcję gotową.

KTO MA UBIERAĆ?

No właśnie, więc kto jeszcze. I w co, żeby kobiety kupowały. Jaka właściwie powinna być suknia balowa? Niepowtarzalna, to znaczy oryginalna, to znaczy, żeby drugiej takiej nie było.

Suknia powinna być modna, zwracająca uwagę i twarzowa. Dziś obojętne — krótka czy długa. Kobieta chce być na balu egzemplarzem jedynym i niepowtarzalnym, chce w swej kreacji wywoływać zachwyt w oczach mężczyzn i zawiść w oczach kobiet. Spotkanie takiej samej sukni na balu, dla rasowej kobiety jest ciosem nie do przeżycia. Czy więc kupienie gotowej sukni może dać pewność spełnienia tych wszystkich warunków?

Niepowtarzalność można osiągnąć nawet w produkcji seryjnej (oczywiście krótkoseryjnej) wykonując jeden model z innych kolorów, innych gatunków tkanin, zmieniając dodatki. Możliwość więc istnieje. Tylko kto się ma tym zajmować. Nie wydaje mi się, by mógł to dobrze robić handel państwowy. Handel, który ma wszystkie rodzaje odzieży, który szarpie się nieustannie między możliwościami przemysłu, a wymaganiami klientów, który głowi się stale jak upłynnić zalegające magazyny buble. Mamy suknie koktajlowe, bo musimy mieć, ale powodzenia to one nie mają — powiedziano mi uczciwie w MHD. I w takich warunkach dalej nie będą miały.

Więc może by powołać jakąś placówkę spółdzielczą, która w jednym czy dwóch sklepach zgromadziłaby wyłącznie odzież wieczorową i balową: suknie koktajlowe, balowe ślubne, wieczorowe, dla mężczyzn smokingi czy bardziej luksusowe ubrania wieczorowe, a jednocześnie wszystkie dodatki: obuwie, torebki, rękawiczki, biżuterię, sztuczne kwiaty, dla mężczyzn krawaty, spinki, skarpetki, koszule itd. Bo sprawa dodatków to drugi temat, o którym można by nieskończenie. Kiedy kobieta ma już suknię, to szuka do niej pantofli, potem do pantofli torebki, potem rękawiczek itd. Nie ja zresztą takie sklepy wymyśliłam, zrobili to już dawno ludzie, którzy mają handlową głowę, którzy umieją robić interesy. Wydaje się, że najbardziej byłaby do tego powołana spółdzielczość, bo i tak w tej chwili ma najlepiej zorganizowanych producentów balowej konfekcji, ma również możliwości rozszerzenia sieci punktów szycia.

NIE MARTWCIE SIĘ

Na bal można iść i można nie iść. Przeważnie żałuje się w jednym i drugim przypadku. Nie martwcie się jednak dziewczęta, jeśli na swym pierwszym balu spotkacie jeszcze kilka identycznych z waszymi sukien. Za trzydzieści parę lat (jak dobrze pójdzie) i tak będziecie ten bal wspominać jako najpiękniejszy w życiu. Będziecie pamiętać tylko swoją suknię i swego partnera. I będziecie przekonane, że był to prawdziwy bal i że dziś ludzie nie potrafią się bawić.

---

seria Watykanu wydana z okazji 1000-lecia Polski. W filatelistycznym światku zbieraczy cena tego wydania ustaliła się obecnie na 150—200 zł. Oficjalny polski katalog podaje 75 zł. Nikomu nie radzę jednak pytać o „polski Watykan" w „Ruchu" bo go poczytają za wariata. Można natomiast za 200 zł kupić tę piękną serię na giełdzie lub w prywatnych antykwariatach filatelistycznych.

Inny przykład. Piękną, barwną, polską serię „Psy rasowe" Zumstein wycenił w swoim czasie na 22 franki. Mniej więcej 120 zł. W naszym katalogu — 90 zł. Spróbujcie jednak kupić za tę cenę! Wyśmieją was. Wszyscy wolą w tym wypadku „wierzyć" w katalog Zumsteina.

Dla większości polskich znaczków mamy więc trzy rodzaje cen. Nominalną, uwidocznioną na znaczku, bowiem wszystkie wydania od 1953 roku są w obiegu i teoretycznie przynajmniej można część z nich kupić na poczcie. To pierwsza cena teoretyczna.

Katalogową, wg aktualnego co roku wydawanego cennika. To także dla wielu wydań, które zdobyły sobie popularność ze względu na temat lub walory artystyczne — cena teoretyczna.

Wreszcie trzecia cena — realna, kształtowana przez... samych filatelistów. Tak, tak. Zwiększony popyt, pogoń za atrakcyjnymi seriami, wykupywanie w zwiększonej ilości — to kształtuje rynek. W wyrzekaniach na „giełdowych rekinów" i antykwaryczne ceny wiele jest obłudy. Są to bowiem „instytucje", które żyją z filatelistyki, ale także dla filatelistyki. I znikną zapewne dopiero wówczas, gdy umrze filatelistyka.

Zwiększenie popytu na niektóre znaczki wynika również z określonej polityki Ministerstwa Łączności. Wiadomo na przykład, że popularny ostatnio jest temat „Malarstwo". W roku 1967 wydano piękną serię w „złotych ramkach" — osiem arcydzieł światowego malarstwa — od Rembrandta do Leonarda. Ale nie wydano normalnie w arkuszach po 20 czy 50 sztuk lecz... w ozdobnych arkusikach po 5 sztuk. Jasne, że każdy filatelista z prawdziwego zdarzenia chce mieć cały arkusik z odpowiednim nadrukiem, z przewieszką-kuponem.

Komplet pięciu znaczków wydanych tak właśnie sprawia, że samoistnym walorem kolekcji staje się nie znaczek a cały arkusik. Więc przynajmniej co trzeci ze 100 tysięcy polskich filatelistów kupuje w efekcie nie jeden lecz pięć znaczków. Rośnie popyt, rosną ceny, rodzi się spekulacja. Podobnej operacji wydawniczej dokonano w roku ubiegłym z ośmioznaczkową (piękną!) serią reprodukcji malarstwa polskiego. Też arkusik, też ozdobnie wydany z dwiema przewieszkami-kuponami.

Ktoś może w tym miejscu zakrzyknąć, że przecież arkusiki są piękne, że są ozdobą zbiorów. Zgoda. Sam zbieram „Malarstwo" i w moich klaserach widnieją — biję się w piersi — nie pojedyncze serie lecz komplety.

Wiem, że jak średniorolny ze schematycznej powieści mam dwie dusze. Duszę filatelisty i duszę dziennikarza, który widzi, że w filatelistyce, tej szlachetnej i poszerzającej świat pasji nie najlepiej się dzieje. Że starzy filateliści mają może rację wieszcząc jej koniec. Dlatego szukam przyczyn i tropię nonsensy. Dlatego czepiam się pięknych arkusików malarstwa.

Ale kiedy bierze we mnie górę dusza filatelisty rozumuję tak: „W niektórych państwach nie dopuszczają podobno do spekulacji znaczkami wydając ogromne nakłady. Jeśli na określone wydanie jest popyt — drukuje się tyle, aby nasycić rynek. Nie ma spekulacji. Ale też i nie ma filatelistyki. Z USA na przykład wszyscy na świecie się liczą jako z mocarstwem. Filateliści nie — dla filatelistów to po prostu „neptek", który swoje pięciocentówki wydaje jak śmiecie. Nawet białym orłem na amarantowym tle wydanym z okazji 1000-lecia Polski nie podbito nas. Jest tego jak ulęgałek za grosze...

A małe Węgry się liczą. Ich luksusowe serie cięte i ząbkowane? Każdy filatelista na świecie o nich marzy.

Więc w przekornym państewku o nazwie Filatelia może te wszystkie kombinacje i spekulacje są potrzebne? Może ta cała kołomyjka to właśnie dobrodziejstwo inwentarza kolekcjonerów? Może to pogoń za trudnym i nieosiągalnym tkwiącą w ludzkiej naturze? Może filateliści wieszczący koniec pasji mylą się lub są obłudni jak wtedy, gdy wyrzekają na antykwariuszy? Może?

Że mogłoby być lepiej, że zawodzi organizacja, że polskie wydania są czasem musztardą po obiedzie, kiedy już zainteresowanie tematem opada, że nożyce cen są istotnie skandalicznie rozczapierzone, że prosty, szary filatelista bez paru „brudasów" w kieszeni nie ma szans, że filatelistyką zarządzają urzędnicy, którzy jeśli nawet znają się na niej, to nie mają z r o z u m i e n i a, że, że, że...? Prawda, ale...

Nie wybrnę z tej sprawy. Mam dwie dusze, i obie trzymają się krzepko. Więc może anegdota z Międzynarodowych Targów Poznańskich. Do wystawionej tam „Syrenki" podszedł Amerykanin i wydziwia. „Czy to samochód czy wózek inwalidzki, skrzynia biegów do kitu, całe zawieszenie dzwoni przy każdym ruchu, czy to w ogóle jedzie..." Polak się zdenerwował i woła: „Panie, a u was to Murzynów biją!"

Więc i ja może tak zakończę. Oczywiście nie jest najlepiej i urzędnicy knocą i spekulacja filatelistom doskwiera, ale polskie znaczki mają swoją cenę i powagę na całym świecie i nie jesteśmy w światowych katalogach reprezentowani byle czym i co roku musi nam szwajcarski Zumstein dodawać po parę stron w swoim wydaniu. I może właściwie bez znaczenia są te wszystkie denerwujące sprawy — tak mało znaczące wobec faktu, że w milionach klaserów na całym świecie Polska reprezentowana jest tysiącami egzemplarzy „małych ambasadorów", że w świadomości milionów zbieraczy nasz kraj kojarzy się z pięknym znaczkiem — jednym z najpiękniejszych na świecie.

IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

Malarstwo francuskie w Muzeum Sztuki

Rozwój sztuki nowoczesnej zawdzięcza Francji nadspodziewanie dużo. To w ojczyźnie impresjonizmu i kubizmu zbudowane zostały podwaliny nowego widzenia plastycznego, które stało się początkiem rewolucyjnych zmian w sztuce XX wieku. I chociaż wiele innych wybitnych kierunków współczesnej plastyki, jak futuryzm, ekspresjonizm, czy nawet sztuka abstrakcyjna, powstało i rozwinęło się w innych krajach europejskich, Francji przypadła rola utrwalania tych zdobyczy, wzbogacania o nowe wartości, przydawania im sankcjonującej mocy zjawisk powszechnie uznanych. Ściągający do Paryża artyści — przedstawiciele wielu narodowości, wykształcili we Francji środowisko plastyczne od szeregu lat wyjątkowe i niepowtarzalne.

Również i prezentowane na wystawie w salach Muzeum Sztuki francuskie malarstwo współczesne, jest dziełem twórców, którzy związali swoją działalność z Francją, choć tylko część z nich jest Francuzami *). Wśród wystawiających autorów przewijają się nazwiska Anglików, Hiszpanów, Holendrów, przedstawicieli obydwu Ameryk, Włochów, Niemców Szwajcarów, Belgów, Skandynawów i wielu innych osiedlonych we Francji cudzoziemców. W tej plejadzie artystów reprezentujących malarstwo francuskie, nie powinno dziwić nawet egzotyczne nazwisko wybitnego dziś Zao Wou — Ki.

Jest to po części ekspozycja artystów, którzy już dzisiaj, choć nie są z jednego pokolenia, osiągnęli pozycję klasyków sztuki nowoczesnej Ernst, Giacometti, Soulages, Seuphor, Dubuffet, Hartung, Lam, Prassinos, Manessier, Van Welde, Betencourt, Mathieu, Poliakoff, Vasarely, Tomasello, Matta, Singier — to zarówno historia, jak i wciąż żywa teraźniejszość nowej sztuki naszego wieku.

Jednakże mimo tylu wielkich nazwisk, mogących przyprawić polskiego widza o onieśmielenie, francuska wystawa rozczarowuje. Nie jest to zresztą przypadkiem, bowiem koncepcja tego rodzaju wystaw przeglądowych, zawodzi w odbiorze często. Jeżeli każdy autor jest reprezentowany tylko jedną przykładową pracą, to sam dobór eksponatów staje się sprawą znacznej wagi. Trzeba bowiem wyjątkowego szczęścia, aby w takiej masie obrazów każdy zaprezentował równie godnie swojego twórcę, jako że gra tu rolę nie tylko wartość artystyczna poszczególnych dzieł, ale również ich wzajemny stosunek w oddziaływaniu na widza. Stąd też wystawy takie są zazwyczaj wyrównane ale i jednocześnie nużące.

I takie wrażenie sprawiła wystawa współczesnego malarstwa francuskiego w Łodzi. Pokazane na niej obrazy, będące dziełem indywidualności większych i mniejszych, odmiennych postaw artystycznych, różnych dróg twórczych, są w masie do siebie podobne — i mówiąc po prostu — raczej monotonne. Bo, jeśli już niespodzianka to — jak w przypadku Alfredo Giacomettiego — nie należała ona do udanych. Ten bardzo wybitny rzeźbiarz, okazał się na łódzkiej wystawie autorem... małego i nic nie mówiącego szkicu ołówkowego, chociaż, jak wiadomo, jest on również malarzem, czego dowodem była wystawa malarstwa szwajcarskiego w Muzeum Narodowym w Warszawie w 1965 r.

Wystawę tworzy sześćdziesiąt kilka obrazów. Mimo że malarzy o podobnych stylistykach umieszczono koło siebie, nie uniknięto wrażenia pewnego rozproszenia.

Nie zobaczyliśmy, niestety, obrazów wielkich artystów naszej epoki, twórców spoza Ecole de Paris, jak Picasso, Chagall czy Buffet, zabrakło udziału mocno zaangażowanych we współczesność prac Verlona.

Objazdowa wystawa francuskiej sztuki współczesnej, której Łódź była trzecim już etapem, miała charakter przedsięwzięcia o znaczeniu ogólnokulturalnym zacieśniającym wzajemne stosunki w tym zakresie między Polską a Francją. I taki cel wystawa ta w naszym mieście spełniła.

Być może, że osiągnięty został inny jeszcze nie zamierzony cel. Wielu naszych rodzimych twórców miało okazję stwierdzić, że nie jesteśmy tak znowu opóźnieni wobec artystycznych dokonań mistrzów znad Sekwany.

Więc jeśli wystawa mogła się stać dla kogoś terapią na kompleksy prowincji, to była to dobra wystawa.

---

*) Współczesne malarstwo francuskie — Muzeum Sztuki w Łodzi grudzień 1968, styczeń 1969.

Alberto Giacometti — Las — (brąz).

TELEOBIEKTYW

Utyskiwania śledziennicze

Zacznę od tego, co na wątrobie.

Ośrodek Krakowski stał się w tej chwili potężnym partnerem w wypełnianiu programu ogólnopolskiego. Jeszcze wciąż przeżywa zachłyśnięcie się bogactwem środków technicznych, które spadło nań z dnia na dzień z momentem uruchomienia Krzemionek.

Przedtem były lata chude. Wóz transmisyjny jako marna namiastka stacjonarnej aparatury studyjnej, małe klitki zamiast studia. I oto nagle pałac na Krzemionkach, pałac XX wieku uzbrojonego po zęby w oręż najnowocześniejszych zdobyczy techniki. Do tego wielka hala studyjna, do której bez trudu dałoby się wprowadzić kompanię wojska.

To był przełom techniczny, rewolucja w życiu starego Krakowa. Natomiast na rewolucję w programie wciąż jeszcze z utęsknieniem czekamy. Okazuje się, że nie da się przeskoczyć pewnych etapów. W poprzednim numerze pisałem o pionierskich czasach Łódzkiego OT, kiedy to na XIII piętrze wieżowca przed blisko 13 laty (ileż tych trzynastek! Na szczęście nie jesteśmy przesądni!) grupa młodych entuzjastów wgryzała się w tajniki konsolety mikserskiej i lamp orlikonowych, które w pewnym sensie mają lepszą pamięć od człowieka. Pisałem, że gdyby nie te lata górne (dosłownie!) i chmurne nie byłoby późniejszych sukcesów telewizji łódzkiej.

Wydaje mi się, że Kraków nie przeżył właśnie tych lat pionierskich. Jest w związku z tym zapóźniony. Dotyczy to zarówno nielicznej wykwalifikowanej kadry realizatorów telewizyjnych, jak i całego zaplecza teatralnego, scenariopisarskiego, dziennikarskiego. Itp. Nie chcę na tym tle przechwalić Łodzi, która partycypuje w programie krajowym niżej możliwości naszego środowiska i — co ważniejsze — niżej jego ambicji. Ale przecież można zaryzykować twierdzenie, że programy emitowane z ŁOT prezentują dojrzałą fachowość na tle amatorszczyzny i improwizacji, pokrywanej manierą, której obfitych porcji dostarcza nam wciąż jeszcze telewizja krakowska.

Do tych gorzkich uwag skłoniło mnie co najmniej kilka z nadanych ostatnio programów, jak „Przepraszam, że zraszam", gdzie więcej krzywdy uczyniono świetnemu fraszkopisowi niż mu przysporzono popularności. Albo jak nadany niedawno (10.I) w ramach teatru TV „Zjazd rodzinny" Promińskiego, który to spektakl był przykładem chaotycznej i bezkoncepcyjnej reżyserii (nie ratowały jej operatorskie gierki).

Wciąż jeszcze honoru domu krakowskiej telewizji broni skutecznie piórkiem i węglem prof. Wiktor Zin. Myślę, że dać Krakowowi Krzemionki to jeszcze nie wszystko. Warszawska centrala, która pęcznieje od wykwalifikowanych kadr, powinna pośpieszyć Krakowskiemu OT z pomocą, zasilając go przynajmniej czasowo w ludzi, którzy przyspieszyliby wyjście z okresu ząbkowania.

* * *

Skoro zaś dałem upust złej krwi, przejdę do sprawy innej. Temat także w T—O nienowy. Tak zwana recenzja telewizyjna. Jaka ma być i czy w ogóle jest potrzebna? Sądzę, że uprawiana w bloku tygodniowym niewiele ma sensu. Staje się z natury rzeczy prześlizgnięciem po różnych formach programowych, obdzielaniem każdej z nich paroma zdawkowymi pochwałami lub naganami. Z tej lapidarności rodzi się niezamierzona arbitralność sądów, ton bessewisserstwa i poklepywania.

A przecież z drugiej strony musi istnieć społeczna kontrola nad telewizją. Nie możemy przyjmować programu z dobrodziejstwem inwentarza, akceptując wszystko i nie protestując przeciw jawnym przypadkom nieposzanowania widza. Więc pojedyncze recenzje ważniejszych pozycji programowych? Może. Byle niezbyt krótkie, bo wtedy zmieniają się w wyrok sądowy bez uzasadnienia, na co w praworządnym państwie nie możemy sobie pozwolić.

Takie pojedyncze recenzje z poszczególnych pozycji programu uprawia „Życie Warszawy". Są one pisane przez różne osoby, co wskazuje na pewną specjalizację. To słuszne. Nie ma przecież omnibusów od publicystyki, teatru, piosenki, widowisk rozrywkowych.

Ale i recenzyjki w „Życiu" nie zawsze satysfakcjonują. Któryś z recenzentów przypiął się do poczciwego Klossa i uważa za święty swój obowiązek napisać po parę wierszy na temat każdej nowej pozycji tego popularnego i udanego na ogół cyklu. Tymczasem sam rozum wskazuje, że „Stawki" nie należy oceniać z tygodnia na tydzień. Siła jej oddziaływania tkwi właśnie w seryjności. Pojedyncze pozycje mogą być raz słabsze raz lepsze, ale całość daje dopiero właściwą miarę wartości.

Cóż więc robi bezimienny, bo kryjący się za inicjałami recenzent Klossa w „Życiu"? Próbuje każdorazowo na dowcipnie streścić kolejny odcinek. Mnożą się więc tego kalibru „witze", jak: (cytuję niedosłownie) w miarę zbliżania się do Berlina Kloss staje się śmielszy w stosunku do pań albo: tym razem Pawlik był z Klossem „na ty". Czytam i zastanawiam się, czy to ma być krytyka, czy wesoła aprobata, dalibóg nie wiem! Natomiast elementów rzeczowej oceny — niezmiernie mało. Więc po co?

No, tak! I znowu wpadłem w ton śledziennicznego zrzędzenia. Skąd ten nastrój? Może wstałem dziś lewą nogą? Ale przecież zadeklarowałem się jako nieprzesądny. Nie pozostaje nic innego, jak tylko szybko kończyć ten felieton, póki się znów komuś nie dobiorę do skóry.

Władysław Orowski

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Rocznicowa data premiery filmu Jerzego Passendorfera „KIERUNEK BERLIN" określa niejako sens i rolę tego filmu a także jego miejsce w historii polskiej kinematografii, która w bieżącym roku obchodzi 25-lecie istnienia. O filmie tym mówiło się już wiele, wszedł na ekrany obdarzony już wcześniej nagrodą Ministerstwa Obrony Narodowej. Obecnie możemy z nim spotkać się już osobiście. Spotkanie to będzie jednak w jakiś sposób ograniczone, gdyż pełną ocenę filmu będziemy mogli dać dopiero w maju, gdy obejrzymy także jego drugą część, mówiącą o ostatecznym zwycięstwie.

Gdy patrzymy na dotychczasowy dorobek reżyserski J. Passendorfera, filmy jego układają się nam w jakiś konsekwentny ciąg podejmowanych tematów. Wojenny los Polaka odnajdujemy w „Zamachu", „Barwach walki", „Skąpanych w ogniu", a także w innym trochę aspekcie w „Powrocie". Jego ostatni film świadczy o tym, że reżyser ten konsekwentnie kroczy określonym tropem. Nie dąży do syntez historycznych, nie interesuje go silniej problematyka psychologiczna zdeterminowana czasem wojny, choć przecież uniknąć jej absolutnie nie może i nie potrafi. Jego zainteresowania zmierzają głównie w kierunku pewnej rekonstrukcji wydarzeń wojennych — działalności konspiracyjnej i partyzanckiej czy wreszcie walki polskich żołnierzy w szeregach I i II Armii Wojska Polskiego. Bohaterem bowiem filmu „Kierunek Berlin" jest właśnie jedna kompania I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Rekonstrukcja tych wydarzeń staje się nie tylko lekcją historii dla pokolenia młodych, nie tylko wspomnieniem dla tych, którzy odnotowali swój udział w tej historii, rekonstrukcja ta ma być szkołą patriotyzmu i dumy narodowej. Poczucie tej dumy rodziło się na ulicach Warszawy, w lasach Kielecczyzny, nad brzegami forsowanej Odry i na ulicach zdobytego Berlina, wszędzie tam, gdzie odnaleźć można wielkie tradycje walk wolnościowych, gdzie udowadniano bohaterstwo, wolę walki i zwycięstwa.

Realizując swój nowy, dwuseryjny film Passendorfer mając już za sobą wspomniane wcześniej filmy sięgnął z kolei do tradycji wielkiej batalistyki. Jak wiemy, nie jest to rzeczą łatwą wówczas, gdy nie chce się tylko poprzestać na sensacji, atrakcji wizualnej, bądź lawinie efektów pirotechnicznych. Sądząc po pierwszej serii filmu udało się reżyserowi i jego współpracownikom w znacznej mierze uniknąć częstych potknięć tego gatunku filmowego. Myślę, że jest to sukces całego zespołu przygotowującego film, który jest nie tylko wielką batalistyką, wielką panoramą lecz także mozaiką zbiorowiska ludzkiego.

Autentyzm i prawda filmu nie wynika ją głównie z wierności wobec faktów historycznych, czy z inscenizowanych sytuacji, są w ogromnym stopniu zasługą aktorskiej obsady filmu i bardzo dobrej sztuki operatorskej. Kazimierz Konrad udowodnił jeszcze raz, że jest mistrzem batalistycznego pejzażu.

Wśród wielu ról epizodycznych, często znakomitych (Wacław Kowalski, Stanisław Milski i inni) prym wiedzie postać kaprala Naroga, znana nam wcześniej z „Barw walki". Postać Naroga to jeszcze jeden sukces niezastąpionego Wojciecha Siemiona. Gdy pisać się będzie o polskich filmach żołnierskich, nie sposób będzie nie określić typu polskiego żołnierza-plebejusza, którego autentycznym twórcą jest Siemion.

Wprawdzie po pierwszej serii filmu Jerzego Passendorfera jesteśmy już blisko Berlina, trzydziestoparokilometrowa odległość mierzyć się jeszcze będzie niezliczoną ilością przelanej krwi i żołnierskich śmierci. Towarzyszyć w tej drodze będziemy naszym bohaterom w drugiej serii filmu, wiemy, że zaprowadzi nas ona pod Bramę Brandenburską.

Wracając do postaci kreowanej przez Siemiona pozwolę sobie przytoczyć fragment jego wypowiedzi w momencie, gdy niedaleko Łodzi dotarł wraz z kolegami do filmowej Bramy Brandenburskiej. Sądzę, że ta wypowiedź zbliży naszym czytelnikom postacie filmu, które spotkają już w pierwszej części filmu. Po nakręceniu ostatniej sceny filmu Wojciech Siemion powiedział:

„Jestem zmęczony, potwornie zmęczony, lecz żal mi się z postacią Naroga rozstać. Nie umiem uciec od tego, co przecież nie jest już moją własnością. Jako aktor jestem zmęczony, kończąc ten film, rozumiem jednak lepiej jak bardzo był zmęczony mój bohater. Jako Naróg doszedłem do Berlina, miałem powody by się mścić, brać odwet za całą świadomość tego co przeżył mój naród, co przeżyłem ja. Gdy ostatni raz spojrzała na mnie w tym filmie kamera chciałem by twarz moja wyrażała i te uczucia, które mnie — Naroga tu przywiodły i moje zmęczenie. Ale jednocześnie chciałem by moja twarz mówiła o tym, że dotąd uczyłem się strzelać, ale tego nie lubię i nie chcę robić, teraz chcę siać. Triumf pod Bramą Brandenburską jest triumfem wielkim. Jako człowiek współczesny wiem jednak, że poza zwycięstwem olimpijskim nie może być innego zwycięstwa tylko radosnego. To również chciałem poprzez twarz Naroga wyrazić".

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

RENOIR WŚRÓD BLISKICH

● Rok bieżący jest rokiem Renoira w związku z 50 rocznicą śmierci tego malarza.

W dniach od 8 stycznia do 8 lutego br. odbywa się w paryskiej galerii Durand-Ruel wystawa obrazów Renoira. Zatytułowano ją „Renoir intime". Wystawa ta nie pretenduje do pokazania całokształtu twórczości wielkiego malarza, ani nawet do ukazania najbardziej charakterystycznych cech jego talentu. Renoir namalował ponad 6 tysięcy płócien, a malował niemal do chwili swej śmierci. Gdy zreumatyzowanymi palcami nie mógł utrzymać pędzla przywiązano mu go do ręki.

Wystawa w galerii Durand-Ruel (rodzina ta była zaprzyjaźniona z wielkim malarzem) gromadzi zaledwie 65 obrazów, a nazwano je „Renoir intime" ponieważ pokazuje dzieła w których malarz utrwalił swych najbliższych i swe najbliższe otoczenie. A więc są tu portrety żony, dzieci, przyjaciół, ulubionych krajobrazów, słowem— ludzi, okolic, nawet kwiatów i owoców wśród których żył wielki malarz. Spośród wielkich artystów XIX wieku żaden nie czerpał tyle natchnienia dla swej twórczości z codziennego życia i powszedniego otoczenia co właśnie Auguste Renoir. Był człowiekiem skromnym i serdecznym wobec swych bliskich. Toteż wystawa obecnie jest dla zwiedzających ją jakby uczestnictwem w rodzinnym święcie Renoira. Są tu także trzy jego autoportrety z różnych okresów życia. Znalazł się też obraz ostatni malowany zaledwie na parę godzin przed śmiercią, a przedstawiający owoce.

Renoir. Portret pani George Besson. (1918)

Jest też na wystawie ceramika Renoira z roku 1856 bowiem ani Auguste Renoir mógł się utrzymać ze swego malarstwa sztalugowego, zarabiał na życie swoje i rodziców malowaniem porcelanowych talerzy.

Obecna wystawa inauguruje szereg innych wystaw i imprez ku czci wielkiego malarza, jakie odbędą się zarówno we Francji jak i w innych krajach.

POZA SZEKSPIREM NIC CIEKAWEGO

● „Rok 1968 nie był bynajmniej pomyślny dla angielskiego teatru" — donosi z Londynu korespondent dziennika „Le Figaro" Jacques Deslandes. Dwie nowe sztuki Johna Osborne nie zdobyły większego powodzenia, również i inne sztuki wystawiane w roku ubiegłym na scenach brytyjskich nie przyniosły sukcesów prócz... sztuk Szekspira. Szekspir wiecznie cieszy się w Anglii niesłabnącym powodzeniem. Toteż będzie w roku 1969 grany jeszcze częściej niż w roku ubiegłym.

Skoro jesteśmy przy sprawach teatralnych Londynu dodajmy, że grana obecnie w tym mieście sztuka niemieckiego autora Rolfa Hochhutha pt. „Żołnierze" wywołała prawdziwy skandal. Hochhuth przypisał Churchillowi winę za katastrofę gibraltarską w której zginął gen. Sikorski. Bezpośrednim i świadomym sprawcą tej katastrofy miał być — według autora „Żołnierzy" — pilot kpt. Edward Prchal.

Przeciwko tym twierdzeniom i sugestiom posypały się liczne protesty i głosy oburzenia, a kpt. Prchal wystąpił na drogę sądową domagając się zakazu wystawienia sztuki i odszkodowania za oszczerstwo.

RODZEŃSTWO ADAMO W „OLIMPII"

● Tym razem słynny piosenkarz paryski Salvatore Adamo występuje na estradzie „Olimpii" ze swą dziewięcioletnią, najmłodszą siostrzyczką, Titiną. Ale ponieważ Salvatore nie lubi występować z dziećmi, gdyż przeszkadza mu to w śpiewie, zastosowano pomysł Titiny. Oto gdy na estradzie Salvatore śpiewa piosenkę „Ty nie będziesz wiedziała", w głębi estrady ukazuje się na ekranie dziewczynka, która bawiąc się w dziecinną grę w klasy podskakuje na jednej nóżce, podśpiewuje i zwrotami piosenki odpowiada na śpiew swego słynnego brata.

Salvatore Adamo

WYSTAWA CHAGALLA W NOWYM JORKU

● W Nowym Jorku została otwarta wystawa obrazów Chagalla z lat 1966—1968. Na wystawę składa się trzydzieści jeden obrazów olejnych. Równocześnie został wydany barwny katalog zawierający reprodukcję wszystkich 31 eksponowanych płócien. Do tego luksusowego katalogu Louis Aragon napisał obszerną i piękną przedmowę.

KHOA, DZIESIĘCIOLETNI POETA

● Khoa jest najsłynniejszym poetą w Wietnamie. Jego historia, dla tych którzy nie znają Wietnamczyków, wydać się może nieprawdopodobna. Od najmłodszych lat Khoa słuchał poematów swojej babki, która improwizowała wiersze i pieśni. Gdy umarła, Khoa bawiąc swą najmłodszą siostrzyczkę śpiewał jej własne, improwizowane poematy. Zajmowanie się siostrzyczką Jang spadło częściowo na jego barki, gdyż matka pracowała w spółdzielni rolniczej, ojciec zaś w cegielni. Toteż w godzinach pracy rodziców Khoa i Jang śpiewali wspólnie wiersze ułożone przez chłopca. Zwrócił na to uwagę nauczyciel miejscowej szkoły. Kazał chłopcu napisać jego poematy, które następnie zamieścił w szkolnej gazetce. Opiekunka wiejskiej grupy pionierów Tran Thi Duyen przepisała te wiersze i posłała do Związku Literatów, skąd wiersze małego Khoa trafiły do Ministra Kultury. Ten zaś spowodował opublikowanie ich w druku. Teraz w całym Północnym Wietnamie ludzie powtarzają na pamięć jedenaście wierszy Khoa, dziesięcioletniego poety.

KRÓL BROADWAYU

● Ostatnio telewizja francuska nadała audycję poświęconą wielkiemu kompozytorowi amerykańskiemu, zwanemu „królem Broadwayu" George Gershwinowi. Urodzony w roku 1898 zmarł w roku 1937 pozostawiając bogatą twórczość muzyczną, która wywarła ogromny wpływ zwłaszcza na muzykę amerykańską. George Gershwin łączył styl symfoniczny z elementami jazzu, a jego opera muzyczna „Porgy and Bess" o życiu czarnej biedoty, jest arcydziełem, które weszło na trwałe do historii muzyki.

GRAFIKA LIDII ILJINY

● W roku 1938 Lidia Iljina po ukończeniu moskiewskiej Szkoły Sztuk Pięknych przyjechała do Kirgizji. Wspaniała, pełna jaskrawych kontrastów przyroda tego wysokogórskiego kraju i bogate tradycje sztuki ludowej tak bardzo zachwyciły młodą moskwiczankę, że postanowiła zostać w Kirgizji na stałe. Pierwszymi graficznymi pracami Iljiny były ilustracje do klasycznych dzieł literatury kirgiskiej m. in. do kirgiskiego eposu „Manas". Za najlepsze jej prace uchodzi seria czarno-białych litografii, ukończona w roku 1967, a zatytułowana „Macierzyństwo".

W następnym numerze „ODGŁOSÓW" przeczytacie m. innymi reportaż Bogdy Madej o pijanych kierowcach oraz artykuł Krzysztofa Pogorzelca o nadużywaniu leków

Od niedzieli do niedzieli

PRAWO DO GWIZDU CZYLI ARTYSTA PRZED SĄDEM

GDZIE MIAŁ POJŚĆ IWASZKIEWICZ? — JAK WYRAZIĆ SPRZECIW? — KONDEK KPI Z OGRÓDKA — ZALEŻY JAK SIĘ STANIE — ODPOWIEDŹ JEST ALE PROBLEM POZOSTAŁ.

Przypomnę rzecz raczej mało znaną w szerszych kręgach. Otóż przed laty grano w Warszawie mocno przeciętną dramę Anczyca. Wzbudziła ona u krytyków tzw. uczucia mieszane, a na widowni co i raz słychać było gwizdy. Gwizdał wówczas także Jarosław Iwaszkiewicz, na onczas młody adept literatury świeżo przybyły do stolicy. „Idź pan na Nalewki" — rugnął wtedy ktoś Iwaszkiewicza który nie znał Warszawy i jej obyczajów, więc mocno się zdziwił, że mu każą iść na wódkę.

Tyko, że to było dawno. Dziś gwiżdżącego na niedobrej sztuce zaprowadzono by przed Kolegium Orzekające lub zgoła przed Sąd, gdzie niechybnie otrzymałby stosowną grzywnę za zakłócanie spokoju publicznego.

Nie jestem zwolennikiem hałaśliwych awantur, ale zastanawiam się czy słusznie odebrano nam prawo do gwizdu. Prawo do głosowania przeciw. Bo tak to jest — widz bijący brawo głosuje „za", widz nie bijący brawa „wstrzymuje się od głosu"... A sprzeciw? Jak wyrazić sprzeciw na teatralnej widowni?

Trochę mi trudno o tym pisać, bo wiem przecież jak się nieraz zachowuje w teatrze młodzieżowa widownia. Tyko, że rzucanie papierowymi kulami i głośne uwagi to zwyczajne chuligaństwo — niezależne od jakości sztuki i gry aktorskiej a zależne jedynie od wychowania. Powie ktoś, że „dorosły" gwizd w teatrze może być złym przykładem dla młodzieży. Demagogia! — Od lat, w teatrze nikt nie gwiżdże a młodzież tupie i chuligani. Więc jak? Nie oczekujcie odpowiedzi. Po prostu stawiam pytania bo nachodzą mnie wątpliwości w sprawie sprzeciwu.

Wyjdźmy zresztą z teatru. Wiele podobnych wątpliwości opadło mnie w szeroko już komentowanej w Łodzi „Sprawie Kondka". Artysta, który przed paroma dniami otrzymał Nagrodę m. Łodzi za upowszechnianie kultury, wykpił w felietonie cudaczną willę z ogródkiem — skrzyżowanie bohomazu z landszaftem wystawioną na widok publiczny w największym parku Łodzi — na Zdrowiu. Prawem i obowiązkiem artysty, który jest fachowcem od estetyki tak jak ktoś inny jest np. fachowcem od butów, jest reagowanie na wszystko co z owymi regułami estetyki się kłóci. Wrażliwość i sumienie artysty kazało Kondkowi ośmieszyć pomnik złego smaku — na to ośmieszenie zasługujący.

Zrobił to. Ale właściciel i twórca tego odpustowego panopticum poczuł się dotknięty i Kondek odpowiadał przed sądem oskarżony o zniesławienie. Nie wiem jak się rzecz skończy — w pierwszej instancji sprawę umorzono ze względu na małą szkodliwość społeczną czynu oskarżonego Kondka oraz biorąc pod uwagę pozytywną sylwetkę artysty.

Można wątpić w wyroki boskie — w wyroki Sądu raczej nie należy wątpić. Przeto nie czynię tego. Wacław Kondek — artysta wybitny i ceniony, to sylwetka rzeczywiście bardzo pozytywna czego dowodem jest choć by ostatnio Nagroda m. Łodzi. A szkodliwość społeczna?

Moim znajomym jeśli mnie pytają czy gmach redakcji jest po prawej czy lewej stronie Piotrkowskiej odpowiadam zawsze: „zależy jak się stanie". Czy twarzą do Placu Wolności czy do Placu Niepodległości... Ja stoję akurat tak, że za szkodliwe społecznie uważam wszelkie publiczne działanie skierowane w przeciwnym kierunku niż założony w polityce kulturalnej Państwa program estetycznego wychowania społeczeństwa i upowszechnienia plastyki. I sprawą drugorzędną jest fakt czy to przeciwne działanie odbywa się na skalę ogródka z odpustowymi zwierzątkami, czy na skalę wielotysięcznych nakładów koszmarnych pocztówek sprzedawanych po bramach przed każdymi świętami.

Dlatego rozumiem sprzeciw Wacława Kondka — artysty reagującego na otaczającą go rzeczywistość, kpiącego z rzeczy śmiesznych i pokracznych. Tak jak rozumiem wyrażający się gwizdem sprzeciw Jarosława Iwaszkiewicza przed czterdziestu laty. Minęła cała epoka a problem granic i form sprzeciwu w kręgu sztuki pozostał. I chyba pozostanie nierozwiązany i nie zmienią tego faktu ani setki felietonów ani setki werdyktów.

Nie oczekujcie więc odpowiedzi, bo tę dał Wysoki Sąd, który uznał, że społeczna szkodliwość sprzeciwu Kondka jest zbyt mała aby artystę ukarać. No cóż — ulica Piotrkowska jest długą i ludną ulicą. Chodzą po niej ludzie z twarzami zwróconymi w różne strony.

JERZY WIDOK

Bez strachu

PROLOG EPOPEI

Trzeba się skupić, bowiem zamierzam napisać rzecz trudną, bądź za trudną ucho dzącą... Kto z piszących i czytających nie odczuwał lęku przed poprzednimi losami bohaterów! Przecież i Pana Skrzetuskiego i Stasia Wokulskiego i Ślimaka znamy tylko od pewnego momentu — mijamy ich w pędzącym pociągu jak drzewa wyciągające do nas gałęzie ukwiecone lub gołe — przez szybę i na chwilę... Oto pojawili się w Tyńcu, oto przybył do składu i nosił piwo panom radcom, oto orał ziemię dobrze, ale co było poprzednio — czy Iliada istotnie zaczęła się od kłótni Agamemnona z Achillesem — nie, po stokroć nie — zarodki wszystkich wydarzeń istniały w poprzednich losach bohaterów, o których informują nas luźno, im dalsze tym mnie konkretne mity i oczywiście nasza wyobraźnia — lecz czy Homer rzeczywiście zamierzał dopuścić nas do spółki autorskiej?!

Kusi mnie sprawa szerokiego prologu epopei, którą może kiedyś napiszę. Będzie to epopeja o wielkiej wojnie. W prologu jej bohaterowie ciasno ściśnięci jadą wraz ze mną samochodem — oficer Wehrmachtu w rozpiętym mundurze, (zginie w środku wojny zastrzelony), naiwny, młody Kazio (zginie na początku wojny zamordowany za ukrywanie broni), Jan Kotunia (niesłusznie posądzony o zdradę padnie pod koniec wojny od zbłąkanej kuli), małżeństwo Skwarczów (przenosili boczek na własnych ciałach), Diabeł (ukazywał się w gorączkowych snach i nękał racjonalistów). Otóż wszyscy oni jadą z wieloma innymi, których nie zdążę tu wyliczyć w tym samym samochodzie (chociaż w epopei działać będą w rozmaitych miejscach i nigdy się nie zobaczą ani nie dotkną). Rozmawiają ze sobą (chociaż oficer Wehrmachtu wejdzie na karty dopiero wtedy, gdy młody Kazio będzie już trupem, a Kotunia pojawi się w epopei dopiero po ich śmierci). Ach, naiwność młodego Kazia, ach, ten rozpaczliwy potwór w mundurze Wehrmachtu. Ach, ten intrygujący Kotunia, ci Skwarczowie-Sobkowie, ten diabeł którego nigdzie nie ma, a przecież jest wszędzie! Są więc poza miejscem i poza czasem epopei w jej prologu — otóż Człowiek Epopei powinien być człowiekiem pełnym bardziej niż człowiek powieści, bal bardziej niż człowiek życia i dlatego widuję go także poza epopeją w jednym miejscu, i w czasie w ponadfabularnej obecności. Uwaga! Samochód warczy i podskakuje, bohaterowie epopei rozmawiają rozmową z przedstronicowego życia. Dojeżdżamy do ubogiej wiejskiej chaty. Bezzębny starzec woła: „O Boże! Znowu zesłałeś nam wojnę. O Boże, przecież jej nie przetrzymamy!" Tak ich łączy, umożliwia przetrwanie wojny przed pierwszą stroną. Zaraz wejdę do wojny jak do wanny przekraczającej przypisane ludziom temperatury — jak do wanny z ukropem, jak do wanny z lodem. Czy jest wzywany przez starca Bóg — niech nachyli się i dotknięciem palca przywróci przypisane ludziom miary? Oni przecież wyszli już z wozu i w różnym czasie, z odrębnych przestrzeni wkraczają na strony.

BERNARD SZTAJNERT

ERSKINE CALDWELL

Sylwia

Szanowny Panie!

Dowiedziałem się z wiarygodnych źródeł, że pan zna wielu ludzi w stanie Iowa i piszę do pana, ponieważ wydaje mi się to jedynym sposobem nawiązania kontaktu z rodziną Sylwii. Rozpoznają ją z pewnością na podstawie tego listu, o ile tylko będą mieli możność zapoznania się z nim.

Ja sam też jestem Amerykaninem, ale nie mogę podpisać się prawdziwym nazwiskiem, gdyż narażłbym się na poważne niebezpieczeństwo.

Kiedy rozpoczęła się wojna w Europie wszyscy zagraniczni korespondenci w stolicy zostali zakwaterowani w Hotelu Majestic i zapowiedziano im, że pozostaną tam przez cały okres trwania działań wojennych. Wszyscy stali korespondenci niemieccy, brytyjscy, włoscy i francuscy zostali odwołani do swych central, pozostali więc Amerykanie, Japończycy i przedstawiciele pism skandynawskich.

Sylwia też wprowadziła się do Hotelu Majestic.

Przyjechała przed trzema laty na miesięczną umowę z jednym z amerykańskich pism kobiecych. Pod koniec pierwszego tygodnia rzuciła tę pracę i urządziła się w Grand Hotelu, gdzie wówczas mieszkało wielu korespondentów.

Od tej chwili Sylwia czuła się zupełnie szczęśliwa. Lubiła styl życia dziennikarzy, a każdy, kto ją znał musiał przyznać, że warta była swej wagi w złocie. Bardzo szybko zorientowała się, jaki rodzaj informacji jest pożądany i znalazła właściwy klimat, aby je sprzedawać.

W obyczajach swoich była punktualna jak zegarek. Co dzień po południu znikała, podczas gdy inni pili cocktaile i nikt nie widział jej wcześniej niż następnego rana o godzinie jedenastej, gdy szybkim krokiem wchodziła do kawiarni Majestic. Wszyscy stołeczni korespondenci siedzieli wokół dużego okrągłego stołu pod oknem, każdy z przygotowanym ołówkiem i notesem.

Najpierw żartowano trochę, mówiąc Sylwii, że powinna pracować dla któregoś z wielkich pism, jak Times czy Republic, lecz potem każdy zabierał się do pracy notując skrzętnie wszystko co Sylwia mówiła. Następnie wszyscy biegli do swoich pokojów i nadawali depesze. Pod koniec tygodnia korespondenci doręczali Sylwii grube koperty, zawierające zapłatę za zebrane przez nią wiadomości.

Już po upływie pierwszego miesiąca przestano sprawdzać informacje, gdyż nie zdarzyło się nigdy, aby któraklwiek była fałszywa. Poza tym nie było możliwości sprawdzania tych informacji, gdyż nikt nie wiedział gdzie, ani jak je zdobywa.

Wszyscy korespondenci lubili Sylwię i gdy tylko zdarzyła się ku temu okazja próbowali dowiedzieć się czegoś o niej. Pytali skąd pochodzi, jak się naprawdę nazywa — stawiali różnego rodzaju osobiste pytania. Ale nigdy nie dowiedzieli się niczego, z wyjątkiem tego, że pracowała kiedyś w różnych pismach chicagowskich i nowojorskich, skąd zwolniono ją za lenistwo, niepunktualność czy niesubordynację.

Nigdy nie wiedziałem ile jest prawdy w tym co Sylwia opowiadała o sobie, ponieważ zawsze miałem wrażenie, że choć nigdy nie podała błędnej informacji, nie powiedziała też nigdy słowa prawdy o swoim życiu osobistym.

Lecz gdy siedziała w barze Majesticu była doprawdy jakby królową dziennikarstwa. Każda ważna wiadomość, która jakoś prześlizgnęła się w cenzurze w ciągu ostatnich sześciu miesięcy była jej znana i podawała ją korespondentom. Gdzie uzyskiwała te wiadomości, jaki mi zdobywała je sposobami, kto ją informował — pytania te pozostawały bez odpowiedzi. Nie było wątpliwości, że Sylwia dysponuje jakimiś ekskluzywnymi źródłami, do których żaden z innych korespondentów nie miał dostępu. Przyznawano ogólnie, że gdyby nie Sylwia żadna ciekawsza wiadomość nie byłaby się w tym czasie ukazała w druku ani w Ameryce, ani gdzie indziej.

Wszystko szło dobrze przez sześć czy siedem miesięcy. Aż nagle o piątej rano wkroczył do Hotelu Majestic patrol żandarmerii wojskowej i zabrał Sylwię. Oddano ją pod sąd wojenny.

O piątej trzydzieści wydano wyrok śmierci, o szóstej rano wykonano go w więzieniu wojskowym.

Przez kilka godzin żaden z korespondentów nie wiedział co się stało. Gdy Sylwia nie zjawiła się jak zwykle punktualnie o jedenastej w Majesticu dziennikarze zaniepokoili się, lecz zdecydowali, że to przypadkowe spóźnienie. Siedzieli wokół okrągłego stołu, popijając kawę lub brandy. Następnie ktoś zadzwonił na policję. Ta nie chciała udzielić żadnej informacji, kazała dowiadywać się u władz wojskowych. W ten sposób korespondenci dowiedzieli się o losach Sylwii. Było to strasznym szokiem dla każdego z nich.

Wszyscy amerykańscy korespondenci przetelegrafowali tę wiadomość do swoich pism, lecz ponieważ nikt nie znał nazwiska Sylwii, żadna z nowojorskich gazet nie zamieściła o tym ani słowa. Nie wydrukowały jej więc też pisma prowincjonalne i w stanie Iowa nigdy się o tej sprawie nie dowiedziano. Kiedy korespondenci pytali wydawców w Nowym Jorku dlaczego nie wykorzystano tak sensacyjnej wiadomości, odpowiadano im, że sprawa jest niejasna, gdyż żaden Amerykanin za granicą nie może być sądzony i skazany na karę śmierci bez jakiejś wymiany not dyplomatycznych. Wydawcy informowali się u władz waszyngtońskich, gdzie im powiedziano, że wiadomość musi być fałszywa, gdyż ambasady amerykańskie w Europie nie potwierdziły faktu, jakoby skazana dziewczyna była obywatelką amerykańską.

Dopiero w kilka miesięcy później jeden z amerykańskich korespondentów znalazł klucz do tajemnicy. Był pewnego dnia w ministerstwie i posłyszał rozmowę dotyczącą Sylwii. Wrócił natychmiast do Hotelu Majestic i zrelacjonował ją innym dziennikarzom. Wówczas wszyscy zaczęli szperać na własną rękę, wykorzystując każde dostępne im źródło informacji.

Trwało to dość długo, lecz ostatecznie korespondenci zbadali, że Sylwia była szpiegiem jednego z walczących krajów. Pomimo to informacje dostarczane przez nią były zawsze prawdziwe i dokładne w każdym szczególe. I właśnie to naprowadziło ich na myśl, że zbieranie informacji dziennikarskich Sylwia traktowała jako zasłonę dla swej prawdziwej działalności. A jej prawdziwą pracą było wyszukiwanie tajemnic wojskowych, które następnie były przekazywane dalej przez innych płatnych szpiegów.

Korespondentów nie zadowoliły jednak te dane. Szukali dalej, aż znaleźli dowód, że Sylwia była rzeczywiście Amerykanką z urodzenia i że zrzekła się obywatelstwa po to, aby stać się szpiegiem. Wszyscy, którzy ją bliżej znali, byli przekonani, że powodowała nią żądza wrażeń i że coś było w jej przeszłości, co pchało ją do prowadzenia życia, pełnego niebezpieczeństw.

Gdzieś w południowej części stanu Iowa jest małe miasteczko, gdzie niemal każdy pamięta Sylwię, nawet jeśli to nie jest jej prawdziwe imię. Była córką znanego lekarza, myślę też, że matka jej nadal tam mieszka.

Gdyby rodzina nie rozpoznała z niniejszego opisu kim była Sylwia dodam, że sześć czy siedem lat temu uciekła z domu i włóczyła się po zachodnich stanach i w dolinie Missisipi razem ze znanym bandytą i mordercą. Ich zdjęcia były rozplakatowane wszędzie w okresie, gdy poszukiwała ich policja. Następnie, mniej więcej po roku, mężczyzna został zabity w czasie starcia z policją, a Sylwia zniknęła z widnokręgu. Nikt jej już nigdy nie zobaczył w zachodnich stanach, gdyż zbiegła do Meksyku, a następnie przedostała się do Europy. W tym czasie parokrotnie zmieniała imię, ale ostatnio znana była jako Sylwia. Z tego wszystkiego, co tu opowiedziałem, ktoś pozna chyba o kogo chodzi.

Nie mogę się obecnie ujawnić, ale kiedyś pojadę do Iowy i opowiem rodzinie Sylwii, gdzie ją pochowano i w ogóle wszystko, co ich będzie interesowało. Nie mogę też podpisać się moim prawdziwym nazwiskiem, a nie ma sensu podpisywać się fałszywym. Jednakże, gdy zakończę moją obecną pracę chętnie powiem, kim naprawdę jestem

Szczerze oddany

Amerykanin za granicą

(tłum. m. r.)

Fot. Fr. Janise.

Lewym okiem

WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE!

Nie muszę chyba tłumaczyć Szanownym Czytelnikom, że jedną z moich ulubionych lektur są felietony Ćwieka w „Odgłosach". To znaczy były do niedawna. Ostatnio nie mogę już ich czytać, bo psy sąsiadów popsuły mi mikroskop, a stosowana wielkość czcionek w felietonie zamienia go w moich oczach w zwyczajną szarą plamę.

Z tych samych powodów nie mogłem skorzystać z połowy tekstów, zawartych w pierwszym tegorocznym numerze „Odgłosów", w tym rozszerzonym. Druga połowa zresztą też była ciekawa i cieszyć się należy, że nasze łódzkie pismo kulturalne rośnie, więc chyba rosną też kulturalne zapotrzebowania.

Pomysł jest znakomity: drogą zmniejszenia czcionek wzbogacić zawartość pisma, wepchnąć na jego łamy więcej rewelacyjnych materiałów. Pomysł jest tak dobry, że należałoby go zgeneralizować na wszystkie przejawy naszego życia, i to zarówno społecznego i technicznego, jak i zwyczajnie — biologicznego. Bo tak:

Obliczyli demografowie, że w ciągu najbliższych czterdziestu lat podwoi się na świecie dzisiejsza liczba ludności. Nie wiem, czy każdy zwykły śmiertelnik zdaje sobie sprawę z tego, co to znaczy. To znaczy przecież przede wszystkim, że wszystkie, wszystkie bez wyjątku miasta świata, miasteczka, wsie, osiedla, które ludzkość zbudowała od początku swojego istnienia do dziś, a więc przez kilkanaście tysięcy lat, trzeba będzie po raz drugi, w drugiej identycznej ilości i wielkości, zbudować w ciągu lat czterdziestu. Nowe Tokio, Londyn, Paryż, Warszawę, Chicago z gangsterami, Łódź z operą i Koluszki z dworcem. Ale to jeszcze nic. Miasta i osiedla muszą być przecież połączone liniami komunikacyjnymi. Pamiętacie zapewne z geometrii, że dla wzajemnego połączenia wszystkich punktów ze sobą liniami prostymi trzeba tych linii wykreślić „n" razy „n" mniej jeden dzielone przez dwa. Dwa punkty łączy się więc jedną linią, ale cztery punkty już sześcioma liniami, nie dwiema. Dla połączenia ośmiu punktów potrzeba dwudziestu ośmiu tras, autostrad, torów kolejowych — i tak dalej. Podwojenie setek milionów punktów zamieszkania pociągnie za sobą konieczność zorganizowania miliardów nowych więzi komunikacyjnych, organizacyjnych, społecznych — zaczyna się Apokalipsa. To nie żarty, nie mówiąc o tym, że już dziś jadę szóstką do pracy wisząc na zderzaku. Na czym będę wisiał za dziesięć lat, jako prawie rencista? Zderzaki zajmą przecież nasze dzieci i wnuki...

Wracajmy czym prędzej do wynalazku „Odgłosów": skoro nie można zwiększyć pojemności, to należy zmniejszyć, zdrobnić, zminiaturyzować zawartość. Nie pozostaje nic innego, tylko zmniejszyć rozmiary ludzi. Co najmniej do jednej dziesiątej dzisiejszej średniej. Zastrzyknąć wszystkim niemowlakom wyciąg z jakiejś syntetycznej mrówki, niech nie rosną. Cóż za kolosalne efekty! Wszystkie piętra we wszystkich blokach, nawet tych najnowszych, gdzie przy moim niefortunnie dużym wzroście nie sposób poruszać się bez pochylenia głowy, podzieliłoby się na ćwierćpiętra, niczego nowego nie budując. Tą samą szóstką jeździłoby się siedząc wygodnie na pudełkach od zapałek. Przemysł odzieżowy i dziewiarski upłynniłby nareszcie remanenty, za ciasne na ludzi dzisiejszych. Z jednego jabłka ugotowalibyśmy kompot dla całej załogi kombinatu, jedna krowa nakarmiłaby pół miasta, cała brygada remontowa wstępowałaby na jedną ćwiartkę, zagryzioną pestką ze słonecznika. Po co nam chemiczne regulowanie temperamentów, charakterów i światopoglądów, po co przeszczepianie nosów i obsiewanie łysin — zmniejszyć człowieka, a świat mu się powiększy o miliony nowych możliwości. Egzotyczną dżunglę wyhoduje sobie w doniczce. Ujeździ chrabąszcze i wyręczy się kretem przy budowie schronów przeciwlotniczych. W ocalałych z poprzedniej epoki balach urządzi się ośrodki sportów wodnych, kajaki zmienimy w luksusowe transatlantyki, grotołazy będą odkrywać nowe światy w labiryntach mysich nor. Panowie, nad tym warto pomyśleć. Nie wierzę, że nie znajdziemy sposobu, skoro znaleźliśmy sposób na przekazywanie kolorowych, ruchomych zdjęć z odległości miliona kilometrów próżni, czyli przez absolutne Nic.

Proszę tylko, aby autorzy powieści fantastycznych, opartych na niniejszym pomyśle, pamiętali, że pomysł był mój i że jest opatentowany. Jeżeli zechcą rozszerzyć go na przykład o założenie, że zmniejszeniu ludzi nie będzie towarzyszyć miniaturyzacja płac i wzrost — pardon: regulacja cen — nie mam zastrzeżeń. Tak daleko moja fantazja nie sięga. —

ĆWIEK

Redaguje zespół: Karol Badziak, Halina Bekowa (red. techn.), Konrad Frejdlich Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Jerzy Wilmański Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł, kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy", Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 141. I .B-13